

ŻYCIE

UNIWERSYTECKIE

nr 10 [326] październik 2020



Akcent Kaniewskiej

Z prof. Bogumiłą Kaniewską, Rektorką UAM,
rozmawia Krzysztof Smura

s. 2



PROF. MICHAŁ KAROŃSKI

**ABY WYGRAĆ,
TRZEBA
RYZYKOWAĆ**

s. 8

PROF. ARTUR
STEFANKIEWICZ

**CHCĘ BUDOWAĆ
MARKĘ UAM**

s. 18



PROF. HANNA SUCHOCKA

**MAM DUŻY DŁUG
WDZIĘCZNOŚCI
WOBEC UCZELNI**

s. 30

uniwersyteckie.pl

 z pasją o Nauce 



Akcent Kaniewskiej

Z prof. Bogumiłą Kaniewską,
Rektorką UAM,
rozmawia Krzysztof Smura

Pani Rektor, nie mogę nie zadać tego pytania. Jak się siedzi w fotelu, który zajmowali poprzednicy? Był już czas na chwilę zadumy?

Jeszcze nie. Przyszan, że się jej obawiam. W trakcie takiej chwili, gdy zastanawiam się nad sobą, bardzo mocno ujawnia się, a wręcz dominuje kwestia odpowiedzialności, jaka towarzyszy tej funkcji. Nie zacznę więc od zadumy, tylko od działania. Jest wiele rzeczy, które trzeba poukładać na początku kadencji, przeorganizować. I to jest teraz mój priorytet. Dumać będę później. Jak będzie już czas.

Czy podjęła już pani pierwszą decyzję na nowym stanowisku? Jakiej kategorii?

Tak. Pierwsze moje zarządzenie dotyczy powołania nowych prorektorów oraz określenia zakresów ich obowiązków.

Niedawno odbyło się w gabinecie zawieszenie portretu pani poprzednika, prof. Andrzeja Lesickiego. Zważywszy na obecność portretów tylu mężczyzn na tym stanowisku, nie czuje się pani przytłoczona poziomem testosteronu?

Testosteron mnie nie przytłacza (śmiech). Raczej ciężar tradycji. Galeria w gabinecie jest mi dobrze znana, podobnie jak historia naszej uczelni i stąd takie odczucie. Staram się nie myśleć w kategoriach damsko-męskich. Jestem pierwszą kobietą rektorem w naszej uczelni i jest to dość deprymujące, zważywszy na fakt, że pierwszej/pierwszemu zawsze się wszyscy bacznie przyglądają. Już to kiedyś mówiłam, ale powtórzę: nie jestem zwolenniczką parytetów na siłę. Wiele było przyczyn, dla których przede mną żadna z pań nie zdecydowała się kandydować na to stanowisko, ale – jak sam pan widzi – świat się zmienia.

A jak zmieni się ten gabinet? Przykładowo, nie widzę tu już miejsca na portret pani rektorki. Cytując kabaretowego klasyka: będziemy „ściaśniać”?

Jeśli chodzi o portret, to powiem nieco złośliwie: to nie jest mój problem. Niech się tym martwią inni. Podobne pytanie otrzymał wcześniej rektor Lesicki, ale miejsce się znalazło. Teraz wydaje się, że „ściaśnianie” się skończyło. Trzeba będzie to miejsce znaleźć. Może część portretów znajdzie się w muzeum UAM albo w Auli Lubrańskiego, może należy stworzyć galerię w korytarzu rektoratu. Obyśmy mieli tylko takie problemy...

A atmosfera gabinetu? Moim zdaniem przytłacza.

Tu dominuje tradycja i trudno ją zmienić. Na pewno na moim biurku pojawił się jednak „akcent Kaniewskiej”. To

pewna maskotka, którą otrzymałam w dniu wyboru. Trafiła na rektorskie biurko. Zamierzam także unowocześnić swój roboczy gabinet, potocznie zwany „muzeum”.

A strój rektorski?

Tradycji nie zmienię. Mogę jednak ulżyć – i to dosłownie – nam, kobietom. Przyznam, że zamówiłam lżejsze togi podróżne. Togi mini na lato – żartowałam na ten temat z koleżankami – nie będzie.

W 2016 roku profesor Tomasz Pokrzywniak w rozmowie z rektorem Lesickim wskazał panią na ten urząd i gdziekolwiek jest – zapewne jest teraz dumny. Jak zamierza pani realizować ten swoisty testament?

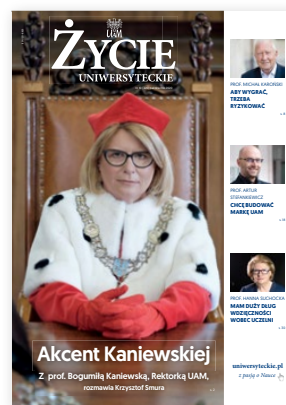
Przyznam, że nic nie wiedziałam o tym spisku. W 2016 roku bardzo długo się wahałam, czy objąć funkcję prorektora i w tych moich wątpliwościach dużą rolę odegrał Tomek Pokrzywniak, który wspierał mnie i przekonywał, że tak trzeba. Potem, gdy okazało się, że Tomka już nie ma wśród nas, bardzo się cieszyłam, że podjęłam decyzję zgodną z jego życzeniem. Testament, jak pan to nazwał, Józefa Tomasza Pokrzywniaka to jest to, co chcę i staram się realizować. Tomasz był dziekanem, a wcześniej dyrektorem Instytutu, którego wzór zarządzania bardzo bym chciała przejąć. Był w nim niezwykle efektywny. Umiał być stanowczy, a równocześnie był człowiekiem zgody i kompromisu. Człowiekiem rozmowy. Ten duch trwa nad Wydziałem Filologii Polskiej i Klasycznej do dzisiaj – mój wydział jest środowiskiem niezwykle przyjaznym. Wzór koncyliacyjnego zarządzania, w którym bierze się pod uwagę zdanie całej społeczności, jest mi bardzo bliski i staram się go realizować. Oczywiście, bywają sytuacje, w których nie da się zadowolić wszystkich i trzeba podjąć decyzję z wszystkimi jej konsekwencjami. I to również Tomasz potrafił zrobić.

Pani hasło wyborcze „Bliżej” intriguje. Czy rzeczywiście Magnificencja Rektor będzie bliżej? Programy socjalne, dom emeryta, pakiety zdrowotne. Czy nas na to stać?

Na wszystko naraz na pewno nie. Ale pamiętajmy o tym, że oprócz środków uniwersyteckich mamy inne możliwości pozyskiwania pieniędzy. Są tu choćby fundusze europejskie. Jest sporo funduszy związanych z opieką nad ludźmi starszymi. Wszyscy się starzejemy: jest to problem i uniwersytetu i miasta. Akurat tym projektem chciałabym zainteresować również inne poznańskie uczelnie. Dzięki takiej współpracy będziemy mogli działać więcej, znaleźć odpowiednie miejsce. Po prostu. Poproszę osoby, które znają temat, żeby mi w tym pomogły. To jedno z najważniejszych wyzwań rektora – rozsądne gospodarowanie majątkiem i finansami, a jednocześnie pozyskiwanie nowych środków dla uczelni. Gdyby było tak, że mamy pieniędzy w bród, to kierowanie uniwersytetem byłoby dziecinnie łatwe.

Jak znajduje pani kondycję finansową UAM w czasach koronawirusa? Ludzie obawiają się zwolnień.

Na pierwszą część pytania mam łatwą odpowiedź: mamy bardzo dobry wynik finansowy za pierwsze pół roku i jesteśmy w dobrej sytuacji finansowej. Ale to odpowiedź optymistyczna tylko do połowy. Podejrzewam bowiem i liczę się z tym, że skutki COVID-u osiągną nas w przyszłym roku kalendarzowym. W ten rok wchodziliśmy z pewnymi nadwyżkami, ale nie mam złudzeń, że obecna sytuacja będzie miała wpływ na gospodarkę, a my jesteśmy przecież



ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

WYDARZENIA

2 | AKCENT KANIEWSKIEJ

Z prof. Bogumiłą Kaniewską, Rektorką UAM, rozmawia Krzysztof Smura

6 | REKTORSKA ŁASKA PRZEKAZANA

7 | REKRUTACJA DO SZKOŁY DOKTORSKIEJ

7 | LEDNICKI ORZEŁ DLA PROF. KÓCKI-KRENZ

NAUKA

8 | ABY WYGRAĆ, TRZEBA RYZYKOWAĆ

Z prof. Michałem Karońskim z Wydziału Matematyki, rozmawia Krzysztof Smura

10 | PROF. MACIEJ WALKOWSKI Z WNPID – NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

12 | DR ALICJA WAROWICKA ORAZ PROF. ROBERT NAWROT – JASKÓŁCZE ZIELE LEKIEM NA COVID-19?

13 | PROF. GRZEGORZ KRÓLICZAK Z WYDZIAŁU PSYCHOLOGII I KOGNITYWISTYKI UAM – ZMOTYWOWAĆ PROZDROWOTNIE

14 | UNIwersYTET POZNAŃSKI NIE STANOWIŁ SZCZEGÓLNEGO PRZYPADKU...

Z prof. Anną Wolff-Powęską rozmawia Magda Ziółek

16 | PROF. PAWEŁ CHURSKI, DZIEKAN WYDZIAŁU GEOGRAFII SPOŁECZNO-EKONOMICZNEJ I GOSPODARKI PRZESTRZENNEJ UAM, DR PIOTR LUPA – RAZEM DLA KLIMATU

17 | ARCHEOLOGIZY Z UAM – POZNAJĄ Tajemnice KURHANÓW

18 | CHCĘ BUDOWAĆ MARKĘ UCZELNI

Z prof. Artur Stefankiewiczem, najmłodszym profesorem tytularnym na Wydziale Chemii i zastępcą dyrektora Centrum Zaawansowanych Technologii, rozmawia Krzysztof Smura

20 | NIE MA WOLNOŚCI W POLSKIEJ NAUCE PRAWA PRACY

Z prof. Anną Musiałą rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

22 | I ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

Z dr hab. Katarzyną Waszyńską, kierowniczką Laboratorium Promocji Zdrowia i Psychoterapii WSE UAM, rozmawia Magda Ziółek

24 | W SIECI PRZYJACIÓŁ

25-29 | DIAMENTY ROZDANE

Opublikowano wyniki IX edycji Diamentowych Grantów. Tym razem ministerstwo przeznaczyło dla laureatów 14 milionów złotych. Sporą część z tej sumy otrzymali laureaci z UAM. W tym roku jest ich siedmioro.

ŁUDZIE UAM

30 | MAM DUŻY DŁUG WDZIĘCZNOŚCI WOBEC UNIwersYTETU

Z prof. Hanną Suchocką rozmawia Jagoda Haloszka

33 | PROF. TADEUSZ PERKITNY I LEON MROCZKIEWICZ – O DWÓCH TAKICH, CO ŚWIAT POZNALI I STUDENTÓW NIE ZANUDZALI

uniwersytetem państwowym. Pewnie przyjdzie taka chwila, że będziemy się musieli zastanowić nad oszczędnościami i jednocześnie trzeba będzie dzielić trochę mniejsze pieniądze. Odpowiadając na drugą część pytania, nie przewiduję zwolnień, których przyczyna leżałaby w trudniejszej sytuacji finansowej. Takich planów nie mam i nigdy ich nie miałam.

1 października odbędzie się inauguracja. Co będzie myślała przewodnią przemówienia nowej rektorki?

Myślę, że głównym akcentem przemówienia będzie kwestia wartości uniwersyteckich. Obserwuję rzeczywistość i staję się ona coraz bardziej niepokojąca. Powinniśmy pamiętać o tym, że reprezentujemy pewien etos i ciężą na nas pewne zobowiązania wobec samych siebie, ale i społeczeństwa, studentów, instytucji, tradycji. To będzie chyba najważniejszy wątek mojej wypowiedzi. A jeśli chodzi o barwę emocjonalną, to zdecydowanie stawiam na optymizm. Niczego nie zbudujemy, jeśli będziemy widzieć przyszłość w ciemnych barwach.

COVID-19 wpłynął na kształt inauguracji roku akademickiego. Dotknęło to głównie „pierwszoroczników”. Czy uczelnia ma jakiś sposób, by ich zintegrować?

To strasznie trudny problem. Jesteśmy w poważnym rozdarciu. Chciałoby się ich zaprosić, aby poznali życie studenckie, a z drugiej strony pojawia się obawa o rozprzestrzenianie się koronawirusa. Stąd też decyzję, w jaki sposób studenci pierwszego roku będą uczestniczyli w zajęciach, pozostawiamy dziekanom. Dziś już wiemy, że pewne zajęcia o charakterze laboratoryjnymi będą się odbywały w sposób tradycyjny, ale większość zajęć w semestrze zimowym będzie jednak prowadzona zdalnie. Na rozmaitych wydziałach pomysły są bardzo różne. Mamy dwa tygodnie przygotowawcze, w czasie których będą organizowane dni studenta I roku. Na dużych wydziałach będą one zdalne, ale na mniejszych w trakcie bezpośrednich spotkań będziemy się starali nauczyć przygotować studentów do nauczania zdalnego. W czasie pandemii dało się zauważyć, że studenci przestawili integrowanie się na tryb zdalny. Powstawały rozmaite fora internetowe, tworzone grupy zainteresowań, były zaczątki przyjaźni zawieranych w sposób inny od tradycyjnego. To też poniekąd znak czasów. Mam nadzieję, że to się przełoży na normalne funkcjonowanie w semestrze letnim.

Ale obawy pozostają?

Zdecydowanie. Gdy patrzę na liczbę zachorowań, to mam wątpliwości. Rozmawiałam z kilkorgiem rektorów i powiem, że uczelnie, które w swych zamierzeniach poszły dalej i zaplanowały więcej normalnych zajęć, będą się z tego wycofywać. To za duża odpowiedzialność.

W październiku na UAM odbędzie się spotkanie w ramach inicjatywy uniwersytetów europejskich. Co to będzie za uroczystość?

Do Poznania przyjadą zarówno rektorzy uczelni tworzących Uniwersytet Europejski, jak i urzędnicy ministerialni. Decyzją minister Anny Budzanowskiej na pół roku zostaliśmy tzw. liderem, budującym taką wspólnotę europejską w Polsce. Chcemy się przede wszystkim zastanowić nad tym, jaki powinien być nasz polski wkład do uniwersytetów europejskich. Chcemy też porozmawiać o pieniądzach, czyli związku projektu uniwersytetów europejskich z rozmaitymi projektami, które przygotowuje Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej oraz podyskutować o problemach, na jakie natrafiamy. Jednocześnie ważną kwestią będą rozwiązania dotyczące pandemii. To ostatnie jest niezwykle ważne, bowiem projekty uniwersytetów europejskich zasadzają się na współpracy międzynarodowej, czyli na tym elemencie, w który pandemia uderzyła najmocniej. Będziemy szukać rozwiązań, ale zapewne i wnioskować o przedłużeniu pierwszej, pilotażowej fazy EPICUR-a.

Gdy rozmawialiśmy pół roku temu, wspomniała pani o lobbingu w kwestiach prawnych dotyczących przyznawania dyplomów dwóch/kilku uczelni. Coś drgnęło?

Niestety nie. Zajęliśmy się COVID-em. Odszedł też minister Jarosław Gowin. To spowodowało spore perturbacje. Teraz sytuacja jest jeszcze trudniejsza, bo wiemy o rekonstrukcji rządu, ale nie wiemy, jak będzie wyglądało nasze ministerstwo. Wiemy, że jest pięć modeli, pięć pomysłów na funkcjonowanie ministerstwa – mniej lub bardziej szczęśliwych. Nie wiemy, kto obejmie resort i z kim będziemy rozmawiać.

O ile przez ostatnie lata zauważyłem, że na naszej uczelni częstym gościem bywał Jarosław Gowin, o tyle minister Murdzyski...

Kontakt z ministrem jest raczej słaby. Na pewno nie można go nazwać dynamicznym. Przykładowo, do końca lipca mieliśmy otrzymać zalecenia związane z organizacją roku, a do 1 września ich nie było i każda uczelnia musiała podejmować decyzje na własną rękę, bez wspólnych ustaleń.

A uniwersytet badawczy? Podobnie jak z Uniwersytetem Europejskim?

Tak, bo przez pandemię tempo realizacji w pierwszym etapie było wolniejsze od założonego. Wiemy, że musimy te działania przyspieszyć i poważnie zastanowić się nad restrukturyzowaniem projektu opartego przecież na założeniu o umiędzynarodowienie nauki. Stąd duża pula środków była przeznaczona w tym roku na mobilność. Będziemy o tym rozmawiać i wnioskować o przesunięcie tych środków na inne cele.

„Gdy nauka jest kobietą” – oczko w głowie byłej pani rektor. Co dalej z projektem?

Będzie się rozwijał. Już w czerwcu mieliśmy krótkie laboratorium online, w czasie którego rozmawialiśmy o skutkach pandemii w życiu kobiet uniwersytetu. Projekt będzie kontynuowany. Zmieni się nieco skład zespołu. Będą w nim obie panie prorektorki. Jest już prawie gotowa ankieta, która ma dotyczyć przypadków molestowania seksualnego. Zakładam, że projekt „Gdy nauka jest kobietą” wpisze się w budowanie tego, o czym mówiłam w czasie kampanii wyborczej, czyli działań propracowniczych, biurze ombud-

*Liczę się z tym, że skutki COVID-u
dosięgną nas w przyszłym roku
kalendarzowym*



smana i rozszerzeniu strategii antydyskryminacyjnej. Wreszcie jest już chyba najwyższy czas, by jedna z sal uczelni miała za patronkę kobietę.

Jak jesteśmy przy kobietach, to pytanie bardzo prokobiece. Jak wygląda kwestia z przedszkolami na UAM?

Pomieszczenia mamy zaplanowane w akademiku na Morasku. I to będzie pierwszy krok. Kolejnym krokiem byłoby uzyskanie lokalizacji na żłobek uniwersytecki. Wcześniejsze przymiarki niestety przepadły. Zastanawiam się też nad możliwością stworzenia placówki opiekuńczej popołudniowej. Nie tyle przedszkola, ale choćby dyżuru, gdzie można by odwozić dziecko na 4-5 godzin. Na czas np. zebrania, czy wygłoszenia referatu na konferencji lub skończenia badań.

Co z Jowitą? Czy to też kwestia na najbliższy czas?

Na razie musimy wyprostować kwestię własności. Mamy problem z małym skrawkiem ziemi i od pewnego czasu z nim się borykamy. Gdy to nastąpi, decyzję będziemy podejmować na nowo. Będę chciała się przyjrzeć tej kwestii i zastanowić się oraz poprosić fachowców. Trochę mi Jowity szkoda. To świetny punkt miasta. Jowita wymaga jednak ogromnych nakładów.

W 2023 roku będziemy prawdopodobnie świętować powstanie federacji uczelni. Mówię prawdopodobnie, bowiem jeszcze wielu trzeba przekonać. Jak?

Myślę, że jesteśmy w lepszym miejscu i czasie niż wówczas, gdy ta idea się rodziła i kiedy budziła sporą rezerwę rozmaitych środowisk. Rozmawiałam niedawno z rektorami Andrzejem Tykarskim i Maciejem Żukowskim i mamy absolutnie to samo zdanie. Jeszcze w tej kadencji, za trzy-cztery lata chcemy doprowadzić do tego, by federacja stała się faktem. Myślę, że nie ma już zasadniczych powodów, dla których mamy się przed nią wzbraniać. Po pierwsze, zmieniły się przepisy i pozwalają one obecnie na to, by była ona luźnym związkiem, zachowującym istotę i specyfikę wszystkich uczelni. Nie będziemy likwidować Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Będziemy tworzyć fe-

derację, która na zewnątrz będzie reprezentowała kilka uczelni. Będzie miała silniejszy głos niż pojedyncze uczelnie. Wymaga to jednak pracy i zastanowienia. Będzie się tym zajmowała Konferencja Rektorów Miasta Poznania i powołane na naszym uniwersytecie Centrum Integracji i Rozwoju, któremu będzie przewodniczył prof. Andrzej Lesicki. Celem Centrum będzie przygotowanie i koordynowanie działań mających doprowadzić nas do federacji.

Wszyscy mówią o rankingach. Najbliższe cztery lata z panią, a może i osiem, to walka o poprawę obecnej pozycji. Czy można postawić znak równości między federacją, a lepszym miejscem w rankingach?

Aż tak dobrze to nie jest. Zakładamy, że rzeczywiście te dyscypliny, które będziemy prowadzić wspólnie, zyskają pewną moc. Ze wzrośnie i polepszy się nasza pozycja rankingowa. Nie ma jednak prostej recepty typu łączymy się i będzie świetnie. Tak to nie działa. Słabością wszystkich poznańskich uczelni jest stosunkowo mała dynamika w pozyskiwaniu grantów. To jest sprawa, nad którą trzeba popracować. Nie jest przypadkiem, że projekty badawcze i pozyskiwanie grantów znalazły się w kompetencjach prorektora prof. Przemysława Wojtaszka, który jako dziekan Wydziału Biologii ma nie tylko ogromne doświadczenie w tym względzie, ale i największe sukcesy.

Profesor Karoński, w czasie rozmowy, która również znalazła się w tym wydaniu ŻU, przyznał, że polscy naukowcy boją się startować do walki o najpoważniejsze granty, bo obawiają się przegranej...

To jedno, ale z drugiej strony procedura aplikowania o granty jest bardzo uciążliwa. To rodzaj rzemiosła, które wymaga opanowania. Bywa, że korzysta się z usług fachowców. Są ludzie, którzy rzemiosło pozyskiwania grantów opanowali do perfekcji. Ważne, by teraz pomogli innym. Bardzo na to liczę, bo to będzie służyło całej społeczności i przede wszystkim uczelni. A na jej dobru zależy nam wszystkim przede wszystkim.



FOT. 4X ADRIAN WYKOTA

Rektorska laska przekazana

31 sierpnia, rektor UAM prof. Andrzej Lesicki przekazał symbolicznie władzę nad uniwersytetem pierwszej kobiecie pełniącej funkcję rektorki na naszej uczelni, prof. Bogumile Kaniewskiej. Prof. Lesicki podziękował za wspólny czas i minione cztery lata współpracy. Tradycyjnie w gabinecie rektora został zawieszony nowy portret. Tym razem 31. rektora UAM sportretował dr n. med. Mieczysław Chruściel, znany szczeciński lekarz, pasjonat malarstwa. W ręce prof. Bogumili Kaniewskiej trafił też symboliczny pastorał.



Rektorka UAM prof. Bogumiła Kaniewska w towarzystwie najbliższych współpracowników

REKRUTACJA DO SZKOŁY DOKTORSKIEJ

W tym roku po raz drugi odbyła się rekrutacja do Szkoły Doktorskiej, która na mocy nowej ustawy o szkolnictwie wyższym zastąpiła wcześniejsze studia doktoranckie.

– To, co było bardzo ciekawe, i co wiązałabym z powstaniem Szkoły Doktorskiej, to fakt, że studia doktoranckie zaczęły przyciągać różnorodnych kandydatów – mówiła w rozmowie z ŻU prof. Dominika Skrzypek, przewodnicząca zespołu kwalifikacyjnego językoznawstwa. W mojej dyscyplinie wcześniej byli to absolwenci zaraz po studiach. Od niedawna – i w tegorocznej rekrutacji było to szczególnie widać – są to osoby, które wracają po paru latach od ukończenia studiów. To są kandydaci, którzy mieli już jakieś życie zawodowe i teraz chcieliby to, czego nauczyli się poza uniwersytetem, połączyć z pracą.

Warunki przystąpienia do Szkoły Doktorskiej określa uchwała Senatu UAM. Rekrutacja odbywa się w drodze konkursu. Należy zarejestrować się w systemie IRK, a następnie złożyć komplet dokumentów: m.in. odpis dyplomu ukończenia studiów wyższych II stopnia, CV wraz z udokumentowanymi osiągnięciami naukowymi oraz propozycję projektu badawczego.

Każda osoba przyjęta do szkoły otrzymuje stypendium w wysokości brutto 2 371,70 zł przez pierwsze 2 lata studiów, a po ocenie śródrokowej – w wysokości 3 653,70 zł. Stypendium wypłacane jest przez cztery lata studiów i jest nieopodatkowane, ale podlega systemowi ubezpieczeń społecznych. To dla wielu osób jest sporą zachętą do studiowania.

– Prawda jest taka – mówi Wojtek, tegoroczny kandydat. – że są to bardzo korzystne warunki. Jeszcze niedawno krążył taki dowcip, że jakby chciało się w komfortowych warunkach prowadzić badania naukowe, to najlepiej ...pójść do więzienia. Tylko tam masz utrzymanie i wystarczającą ilość czasu na czytanie książek, czasem dają też jakieś pieniądze – śmieje się. Dzięki stypendium doktorskiemu mam czas i mogę zajmować się tym, co naprawdę mnie interesuje. Nie muszę szukać drugiej pracy, co jak wiadomo, zabiera i czas i energię, a czasem nawet motywację do pracy naukowej.

W tym roku do rozmowy kwalifikacyjnej przystąpiło 346 kandydatów, przygotowano dla nich 144 miejsca (dodatkowo kilka z tzw. grantów wdrożeniowych). Wśród ubiegających się o statut doktoranta było w tym roku 190 kobiet i 156 mężczyzn. Zdecydowana większość z nich, bo aż 260 osób, to osoby w wieku poniżej 30 lat. Tych, którzy przekroczyli 50 rok życia, było zaledwie sześć. Większość kandydatów ukończyła UAM, ale są też absolwenci UW, UJ, KUL, czy UW. Do egzaminu przystąpiło też 51 cudzoziemców z różnych stron świata: z USA, Iranu, Iraku, Indii, Ukrainy, Chin, Kazachstanu, Pakistanu, Boliwii i Wietnamu...

– Cieszę mnie – mówi prof. Dominika Skrzypek. – że przyciągamy absolwentów z innych uczelni, również tych zagranicznych. Myślę, że dzięki temu Szkoła Doktorska będzie ciekawszym miejscem do studiowania. Ludzie będą tu przychodzić z innymi doświadczeniami, przygotowaniem, inną kulturą kształcenia czy prowadzenia badań.

Największą popularnością wśród kandydatów cieszyły się nauki prawne: na 8 przygotowanych miejsc zgłosiło się aż 47 osób. Powodzeniem cieszyły się literaturoznawstwo (35 osób) czy nauki biologiczne (31 osób). Sporo kandydatów miała też Szkoła

Nauk o Języku i Literaturze, gdzie aplikowały ponad 4 osoby na jedno miejsce.

– W moim przypadku studia w Szkole Doktorskiej wiązały się ze sporymi zmianami w życiorysie – mówi Magdalena. – Studia na WNPiD skończyłam w 2013 roku. Przez najbliższe cztery lata chciałabym zajmować się tematem kryzysu migracyjnego. Wcześniej pracowałam w biznesie międzynarodowym, więc, jak pani widzi, zawsze bardzo globalnie podchodziłam do wszystkich moich wyzwań.

Prof. Gotard Burdziński, członek zespołu kwalifikacyjnego nauk fizycznych, widzi w tym pewien nowy trend. Otóż wśród kandydatów pojawiają osoby z doskonałym, już – wieloletnim, doświadczeniem na rynku pracy. Pragną one najbliższe lata poświęcić pracy naukowej, aby szerzej rozwinąć swoje umiejętności i wiedzę.

Magda Ziółek

LEDNICKI ORZEŁ DLA PROF. KÓCKI-KRENZ



FOT. ADRIAN WYKOTA

Prof. Hanna Kócka-Krenz należąca do grona najwybitniejszych archeologów mediewistów **odebrała Nagrodę Lednickiego Orła Piastowskiego.**

– Wręczenie medalu jest uhonorowaniem „królowej” dynastii Piastów, która panuje nam w Poznaniu – podsumował żartobliwie prof. Andrzej Michałowski, dziekan Wydziału Archeologii na uroczystości w Auli Lubrańskiego.

Nagroda jest przyznawana za wybitne osiągnięcia w dziedzinie badań naukowych i upowszechniania wiedzy związanej z pierwszą dynastią panującą w Polsce.

ABY WYGRAĆ, TRZEBA RYZYKOWAĆ

Z **prof. Michałem Karońskim** z Wydziału Matematyki,
jednym z twórców Narodowego Centrum Nauki,
a obecnie członkiem elitarnego grona w IC ERC,
nie tylko o matematyce dyskretnej
rozmawia Krzysztof Smura



FOT. ADRIAN WYKOTA

Panie profesorze, czym jest matematyka dyskretna? I nie chodzi tu o definicję z Wikipedii...

To ogólne określenie kilku, a według niektórych nawet kilkunastu dyscyplin w ramach matematyki. Najogólniej rzecz biorąc, to ta dziedzina, która w ramach matematyki zajmuje się zbiorami skończonymi lub takimi, które można przeliczyć. To matematyka zajmująca się problemami, które nie są ciągłe.

To skąd określenie dyskretne?

To z angielskiego „discrete”. W angielskim to określenie ma dwojaki sens i znaczy dyskretny bądź ziarnisty. Czyli tak, jakbyśmy brali odrębne ziarenka. Przykładem jest czas. Jest on dla nas przykładem ciągłości, natomiast mierzymy go w sposób dyskretny przez sekundy, minuty, godziny itp. Wszystko to wartości policzalne lub skończone. W ramach matematyki dyskretnej mamy cały szereg dziedzin. Najczęściej kojarzona jest ona z zagadnieniami kombinatoryki czyli przeliczania zbiorów o pewnej własności, albo teorii grafów, gdzie mamy do czynienia z wierzchołkami i relacjami między nimi. Są to również struktury dyskretne.

Jednym z powodów naszej rozmowy jest pana awans do IC ERC. W ramach IC ERC macie przedstawić kandydatów do Rady Naukowej – to najwyższy organ zarządzający Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych – zajmującej się przyznawaniem środków na pionierskie badania podstawowe z zakresu różnych dziedzin nauki. Co trzeba zrobić, żeby znaleźć się w tak elitarnym gronie?

Podejrzewam, że w moim przypadku i na moją korzyść działał fakt, że od 2010 roku budowałem NCN, kierując przez pierwsze sześć lat jego istnienia Radą NCN, organem o tej samej roli, jaką pełni Rada Naukowa w ERC. Warto zaznaczyć, że NCN jest tylko trzy lata młodsze od Europejskiej Rady Badań, która powstała w 2007 roku. To od nich przejęliśmy sposób oceny projektów i organizację paneli. Mieliśmy bardzo żywe wzajemne kontakty. W moim przypadku to wszystko wygasło po 2016 roku, kiedy skończyłem kadencję w NCN, stąd też dość sceptycznie podszedłem do moich szans na wejście do tak elitarnego grona.

Rozumiem, że waszym zadaniem jest przeprowadzenie naboru?

Formalnie jesteśmy ciałem doradczym komisarza ds. innowacji, badań kultury, edukacji i młodzieży. Do naszych obowiązków należy ogłaszanie naboru kandydatów do Rady ERC, a następnie ocena zgłoszonych kandydatów oraz proponowanie nowych członków Rady. W celu naboru kandydatów zwracamy się do kilkunastu organizacji, które są na liście Komisji Europejskiej jako organizacje reprezentujące poszczególne segmenty nauki w Europie. To one dokonują preselekcji wśród swoich członków, a wybrana grupa trafia do nas. Proszę wziąć pod uwagę, że mamy do obsadzenia 21 miejsc w Radzie. Kadencja członka Rady trwa cztery lata z możliwością przedłużenia na kolejną kadencję. Nabór to proces ciągły. W tym roku obsadzimy zapewne od pięciu do sześciu pozycji, a kandydatów może być nawet kilkuset.

Jakimi kryteriami kieruje się IC ERC przy wyborze?

Wybór jest bardzo trudny, bo poprzeczka dla członkostwa jest zawieszona bardzo wysoko. To najpoważniejsi europejscy naukowcy. Często są to laureaci grantów ERC.

A Polacy? Są wśród zgłoszonych?

Dysponujemy zgłoszeniami z poprzedniej kadencji i już wiem, że jest ich bardzo niewiele. Więcej będziemy wiedzieć po 30 września, gdy do puli wejdą kolejne zgłoszenia. Niestety, pewną tradycją europejskich ciał doradczych stało się to, że jesteśmy w nich bardzo słabo reprezentowani, choć ERC jest tu pewnym wyjątkiem. Od początku istnienia ERC byliśmy reprezentowani w Radzie, kolejno przez profesorów Michała Kleibera, Tomasza Dietla i Andrzeja Jajszczyka. To duży sukces. Niestety, nie idzie to w parze z sukcesami w samym ERC, jeśli chodzi o polskie wnioski grantowe. Wynika to z jednej strony ze słabości skandalicznie nisko finansowanej polskiej nauki, jak i z tego, że naszym uczonym brak motywacji i istotnego wsparcia macierzystych jednostek. Dochodzi do tego obawa, czy stać nas na wygraną w tak silnej konkurencji. Kończy się więc to zwykle na rezygnacji ze składania wniosków, a stare powiedzenie mówi, że nie można mieć pretensji o brak wygranej w lote-

rii, jeżeli nie wykupiło się losu. Dla ścisłości dodam, że używam w tym kontekście słowa „loteria” jedynie jako licentia poetica!

Zarówno ERC, jak i NCN, decydują o dużych pieniądzach na badania podstawowe. To spora odpowiedzialność.

Pragnę podkreślić, że chociaż NCN jest bardzo podobne do ERC, w tym sensie, że mają za zadanie finansowanie wszystkich obszarów nauki, to NCN jest praktycznie jedynym (poza FNP) źródłem finansowania badań podstawowych, prowadzonych przez polskich uczonych, podczas gdy ERC ma za zadanie finansowanie najlepszych naukowców z całej Europy, niezależnie od ich finansowania ze źródeł krajów, w których prowadzą badania. Niestety, Polska bardzo słabo korzysta z ogromnych środków ERC, w przeciwieństwie do innych krajów unijnych czy Izraela. Przykładowo, na uniwersytecie w Tel Avivie na tysiąc zatrudnionych tam profesorów, aż stu aktualnie kieruje grantami ERC. U nas są to przypadki jednostkowe, raptem kilkadziesiąt osób w skali całego kraju w ciągu ostatnich kilkunastu lat. A przecież grant ERC to nie tylko istotne finansowanie badań, ale przede wszystkim ogromne wyróżnienie, naukowy prestiż i nowe otwarcie w karierze naukowej.

Jak w takim razie z perspektywy europejskiej ocenia pan system grantowy w Polsce?

Nie ukrywam, że jestem zadowolony z roli, jaką odegrało i odgrywa NCN w finansowaniu badań. Jego powstanie z obecnej perspektywy jawi się jako główne dokonanie rządu w sferze nauki, gdy ministrem była prof. Barbara Kudrycka. Przy czym, co należy zaznaczyć, idea utworzenia agencji grantowych odrębnie finansujących badania podstawowe i stosowane wykiełkowała w czasie rządów PIS-u w latach 2005 – 2007. Wtedy też, w lipcu 2007 roku, powstało NCBiR, natomiast NCN zostało utworzone już przez rząd PO-PSL w 2010 roku. Obie te instytucje, mimo podobnych zadań, działają według całkowicie odmiennych zasad. W przeciwieństwie do ustawy o NCBiR, ustawa o NCN była w dużej mierze autorstwa grupy uczonych. Akcentowała i wzmacniała niezależność NCN od ingerencji politycznych. Dzięki temu udało się stworzyć instytucję o przejrzystych procedurach, odporną na ingerencje zewnętrzne w proces przyznawania grantów. Nad NCBiR, niestety, ciąży grzech pierworodny w postaci ustawy praktycznie oddającej całą władzę, w tym decyzje o kierunkach finansowania i procedurach grantowych, w ręce kierownictwa administracyjnego, sprowadzając rolę Rady NCBiR do jedynie fasadowego charakteru. Pieniądze zamiast na badania stosowane zostały w większości skierowane na finansowanie „innowacyjnych” projektów poszczególnych firm i przedsiębiorstw. Generalnie ich efekt innowacyjny czy badawczy był często mizerny, co potwierdzają europejskie wskaźniki innowacyjności, w których ciągle spadamy. Odrębnym problemem były stosowane w NCBiR procedury wyłaniania projektów do finansowania, w tym wybór tak zwanych ekspertów oceniających wnioski, na przykład dopuszczający pełnienie równocześnie roli wnioskującego o środki i oceniającego wnioski – w tym samym konkursie! W mojej ocenie, polityka finansowania i sposób działania NCBiR doprowadziły do zmarnotrawienia ogromnych środków finansowych.

Jakim budżetem dysponuje NCN?

Obecnie? Bardzo skromnym. 1,2 miliarda złotych na całą, podkreślam, całą polską naukę, co w zestawieniu na przykład z kwotą bliską 400 milionów złotych wydawanych przez państwo na IPN, jest, proszę przyznać, kwotą dość zawstydzającą.

Czy model finansowania nauki się sprawdza? Spójrzmy choćby na projekt Uniwersytet Badawczy...

Przede wszystkim na naukę państwo przekazuje śmiesznie niskie kwoty. I to wszystkie kolejne rządy od wielu, wielu lat. Mówiąc skrótowo, obecna władza preferuje „socjal” a nie „rozwój” i to jest działanie krótkowzroczne. Nie zmienia tego incydentalne programy typu Uniwersytet Badawczy. Uważam jednak, że jest to pożyteczna inicjatywa finansowana za pomocą kreatywnego zabiegu księgowego w postaci obligacji skarbu państwa. Te pieniądze nie są duże, ale mimo wszystko wytworzyły atmosferę wewnętrznej konkurencji i doprowadziły do zwiększenia wagi dokonań naukowych. I to jest niewątpliwie korzystne, ale niestety, dramatycznie niskie finansowanie nauki w Polsce nie umożliwia oczekiwanej przez część środowiska zmiany jakościowej, ponieważ problem jest szerszy. Zagubiliśmy gdzieś prestiż kariery naukowej. Państwo nie przywiązuje wagi do badań naukowych, chociaż deklaracyjnie je wspiera. Zaniedbuje finansowanie badań podstawowych, które, co już dawno udowodniono, mają bezpośrednie przełożenie na rozwój ekonomiczny państwa.

Profesor Jerzy Brzeziński powtarza na każdym kroku, żeby dbać o wolność nauki, że jest ona obecnie zagrożona. Odnosi pan podobne wrażenie?

Jestem matematykiem i dla mnie ten problem nie istnieje, bo w naszych badaniach zawsze króluje wolność. Jestem jednak też profesorem uniwersytetu i widzę wyraźne symptomy wskazujące, że takie zagrożenia mogą się ziścić. Obecna władza ma szczególne zakusy na kształtowanie „dusz i umysłów”. Czym to się kończy, wiemy z poprzedniego systemu. Jest też w środowiskach pravicowych chęć ograniczenia pewnych badań finansowanych przez państwo, w tym w ramach grantów NCN, a dotyczących na przykład badań nad Holocaustem czy zagadnień gender. Nauka musi działać w sposób wolny od takich nacisków. Tak, widzę zagrożenia dla wolności badań, co mnie, podobnie jak profesora Brzezińskiego, niepokoi.

Jeszcze niedawno był pan szefem Rady NCN. Teraz jest pan członkiem prestiżowej Academia Europaea. Na czym polega udział w tym gremium?

AE to korporacja naukowców, ciesząca się sporym prestiżem. Nasza działalność ma charakter doradczy. Wypowiadamy się jako całe gremium w ważnych sprawach, dotyczących nauki europejskiej. Nie pozostajemy obojętni na polityczne aspekty dotyczące tej sfery. Przykładowo, protestowaliśmy przeciw zamknięciu Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie, czy ingerencjom zewnętrznym w niezależność Węgierskiej Akademii Nauk. Misją AE są przede wszystkim działania na rzecz wprowadzania najwyższych standardów w nauce, badaniach i edukacji oraz wspieranie badań interdyscyplinarnych i międzynarodowych.

Skoro mówimy o prestiżu, to pracami IC ERC pokieruje prof. Carl-Henrik Heldin z Uniwersytetu w Uppsali, szef Fundacji Nobla. To także świadczy o prestiżu, jakim cieszy się IC ERC. Tak poważna instytucja wymaga jednak poświęcenia czasu. Ma pan czas na życie prywatne?

Z wiekiem mogę coraz więcej czasu poświęcić wnukom i rodzinie. Aktywnym trzeba być zawsze, ale aktywność z czasem nabiera nieco innego charakteru. Nadal jestem bardzo mocno związany z uczelnią, jak i z NCN i te bliskie relacje chciałbym kontynuować.

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

O perspektywach i kondycji gospodarczej świata w dobie (post)pandemicznej pisze prof. Maciej Walkowski z WNPiD



FOT. ADRIAN WYKROTA

Pandemia SARS-CoV-2 zupełnie nieoczekiwanie dotknęła gospodarkę światową. Jest ona klasycznym przykładem tzw. czarnego łabędzia (*black swan*), czyli zdarzeń *de facto* nieprzewidywalnych. Choćby dlatego tak trudno snuć prognozy, dotyczące stanu świata pod względem gospodarczym w najbliższych latach. O pewną diagnozę się jednak pokuszę.

Po pierwsze, wiele będzie zależeć od tego, jak z kryzysem poradzą sobie gospodarki, mające największy wpływ na wielkość światowej produkcji i rozwój stosunków międzynarodowych. Myślę tu oczywiście o Stanach Zjednoczonych, Chińskiej Republice Ludowej, Unii Europejskiej, Wielkiej Brytanii, Japonii, Korei Południowej oraz rynkach wschodzących typu: Brazylia, Indie, Meksyk, Turcja i Indonezja. Z wyjątkiem potęg azjatyckich są to państwa, które najboleśniej zostały dotknięte skutkami pandemii. Szczególnie niepokojąca sytuacja występuje w samym USA, epicentrum światowego handlu i inwestycji. Pandemia uderzyła gospodarkę światową dwutorowo. Po pierwsze, poprzez negatywny szok podażowy skutkujący ograniczoną produkcją i zwolnieniami spowodowanymi czasowym przerwaniem globalnego łańcucha dostaw. Po drugie, poprzez drastyczny spadek wydatków konsumpcyjnych, który dotknął wiele branż, szczególnie transportową, turystyczną, gastronomiczną, noclegową i eventową (**HoReCa** – *Hotel, Restaurant, Catering/Cafe*). Sektor ten został przez kryzys dotknięty jako pierwszy i zapewne jako ostatni (o ile w ogóle) z niego wyjdzie. Z tego właśnie względu w poważnej sytuacji ekonomicznej znalazły się państwa śródziemnomorskie UE oraz Chorwacja, Turcja, Egipt i Indonezja. Z perspektywy kilku ostatnich miesięcy można zauważyć, że produkcja przemysłowa i sektor usług powoli odbijają się od dna (poprawa wskaźnika aktywności gospodarczej PMI). Udział konsumpcji wewnętrznej w tworzeniu dochodu narodowego nadal pozostaje jednak daleki od oczekiwań. Jak szybko nastąpi więc powrót do dawnych nawyków zakupowych? W mojej opinii, niestety, nie tak szybko i to z wielu powodów. O wyjściu z kryzysu powinniśmy bowiem myśleć w perspektywie średnioterminowej, czyli kilku

lat. Kryzys naznaczony dużym spadkiem PKB, rosnącym bezrobociem, wzrostem prekarnych form zatrudnienia oraz ogólnym obniżeniem dochodów i jakości życia dotknął obywateli wszystkich państw w świecie. Jego skutki najdłużej będą odczuwać te z nich, które jeszcze przed pandemią cechował wysoki poziom długu publicznego i/lub uzależnione od sektora HoReCa. W UE, zakładając skuteczność narodowych pakietów antykryzysowych, wykorzystanie możliwości kolejnej perspektywy finansowej oraz hojnego pakietu antykryzysowego (Fundusz Odbudowy), delikatne odbicie w gospodarce może nastąpić już za rok. Dojście do stanu równowagi makroekonomicznej potrwa jednak znacznie dłużej. Scenariusz oznaczony literą „V”, w którym gospodarka światowa szybko wraca do stanu równowagi i wzrostu gospodarczego (po równie szybkim spadku), jest mało prawdopodobny. Aktualnie nie widać bowiem wszystkich skutków kryzysu, amortyzowanych przez uruchomione tarcze, a negatywne skutki pandemii zostały odłożone w czasie. „Krajobraz po bitwie” z koronawirusem i jego skutkami nie nastroja optymistycznie, tym więcej, że pakiety ratunkowe nie mogą być utrzymywane stale. Wzrost bezrobocia i spadek dochodów jest nieunikniony, a powszechny dziś dodruk pieniądza trwać wiecznie nie będzie. W kolejnych latach za tak drastyczny wzrost długu społeczeństwa będą musiały zapłacić, głównie w postaci cięć rozmaitych wydatków publicznych, likwidacji ulg i podwyżek podatków. Aspiracje i możliwości rozwoju kolejnych pokoleń zostaną więc poważnie ograniczone. Drugi scenariusz, oznaczony literą „I” oznaczającą długoletnią recesję, również wydaje się mało realny. Za najbardziej prawdopodobny można w istocie uznać scenariusz trzeci, zobrazowany za pomocą litery „U”. Jest ona wizualizacją ewolucyjnego wychodzenia z kryzysu, za którym, oprócz wymienionych, przemawiają też inne czynniki. Nie wiemy jednak, jakie skutki przyniesie jesienią fala zakażeń i jakiego typu restrykcje rządowe będą jej towarzyszyć. Nie wiemy też, jak reagować będą na nie zaniepokojeni swą pogarszającą się sytuacją materialną obywatele. Wiemy natomiast, że sytuacji całkowitego *lockdownu* nikt już nie jest sobie w stanie wyobrazić. Musimy więc nauczyć się żyć z otaczającym nas

wirusem i... czekać na skuteczną i bezpieczną szczepionkę. Już sama informacja o jej wynalezieniu (liderami badań są koncerny Moderna Inc., Novovax Inc., Pfizer Inc., AstraZeneca Plc oraz CureVac Inc.) byłaby bardzo pozytywnym i oczekiwanym impulsem do przyspieszonego rozwoju, dając duży zastrzyk nadziei i optymizmu społecznego.

Po drugie, szczególnie w dłuższej perspektywie, większy wpływ na gospodarkę światową, niż działania doraźne, będzie miał kształt procesu globalizacji. Choć pojawiają się opinie, że świat szybko wróci do realizacji idei *business as usual* (z korektami typu wzrost znaczenia *e-commerce*), to dominuje przekonanie o konieczności przemyslenia globalizacji na nowo, czy wręcz deglobalizacji. Spór o główny paradygmat rozwoju świata w swym neoliberalnym wydaniu trwa już zresztą od wielu lat, a intensyfikacji uległ od kryzysowego roku 2008. Pandemia go jedynie wzmogła i wyostriżyła. Przerwy w dostawach z Chin, czyli „największej fabryki świata”, nasiliły dyskusje o konieczności powrotu do zasad *reshoringu* i *nearshoringu*. Część kapitału miałaby powrócić do kraju pochodzenia, tworząc tam zatrudnienie i dochód, a inwestycje bezpośrednie (FDI) lokowane miałyby być w regionach o wyższych kosztach produkcji, ale też bardziej przewidywalnych i bliższych geograficznie niż ChRL. System produkcji bazujący na bieżących dostawach, przy niewielkich lub zerowych zapasach własnych (*just in time*) będzie należał do przeszłości, a na tzw. desinizacji skorzystają gospodarki z Europy Środkowej i Wschodniej oraz Bałkanów Zachodnich, w tym Polska. Ważniejsza od szybkiego wzrostu wydajności i zysków stanie się stabilność i odporność gospodarcza. Wzrośnie nadzorczo-kontrolna i stymulująca rola państwa, nasilą się tendencje interwencjonistyczne i protekcyjnistyczne, propagandowo wzmacniane apelami o etnocentryzm konsumpcyjny. O ile jednak rozrost regulacyjnych funkcji państwa oraz zaplanowany, czasowy i selektywny protekcyjnizm może mieć sens, o tyle przedłużanie tego stanu w nieskończoność oraz działania retorsyjne mu towarzyszące, mogą przynieść więcej szkód niż pożytku. W efekcie „lek okaże się gorszy od choroby”. Odejście od neoliberalnego paradygmatu rozwoju nie musi i nie może jednak oznaczać końca globalizacji, która raczej powinna stać się bardziej transparentna i sprawiedliwa, oparta na solidarności, skutecznym wielopoziomowym zarządzaniu, intensywnej współpracy i – co nie mniej ważne – ekonomii wartości. Pandemia może stać katalizatorem niezbędnych zmian w świecie, ale skupienie się wyłącznie na powrocie na ścieżkę szybkiego wzrostu gospodarczego świata lepszym i sprawiedliwszym nie uczyni, pogłębi i tak już ogromne nierówności, utrudni dostęp do dobrej i powszechnej opieki zdrowotnej, na plan dalszy odsuwając problemy ekologiczne. Ciężar zmian światowego porządku ekonomicznego powinna wziąć na siebie koalicja rynkowych państw demokracji liberalnej, z USA i UE na czele. Tymczasem mamy do czynienia z widocznym osłabieniem globalnego przywództwa Stanów Zjednoczonych, słabnącą pozycją niespójnej wewnętrznie Unii Europejskiej oraz rosnącą rolą i znaczeniem Chin. Fundamentalne znaczenie dla kształtu nowego światowego porządku będą miały listopadowe wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. Kandydat demokratów J. Biden wielokrotnie zapowiadał odbudowanie zaufania do amerykańskiego przywództwa w świecie i tradycyjnych sojuszy. W owej koalicji wspólnych interesów i wartości, oprócz państw członkowskich UE, miałyby się znaleźć m.in.: Kanada, Australia, Japonia i Korea Południowa. Uczciwy handel, przejrzystość światowego systemu finansowego z likwidacją rajów podatkowych włącznie, zmniejszenie nierówności spo-

*Elementem decydującym o kształcie świata
w dobie (post)pandemicznej,
będzie kształt relacji amerykańsko-chińskich
i europejsko-chińskich, a w ich efekcie
amerykańsko-europejskich*

łecznych, dekarbonizacja gospodarki i innowacyjna gospodarka typu 4.0 powinny na nowo stanowić fundament wzmocnionej, gospodarczej współpracy transatlantycznej Europy ze Stanami Zjednoczonymi.

Po trzecie wreszcie, elementem decydującym o kształcie świata w dobie (post)pandemicznej, będzie kształt relacji amerykańsko-chińskich i europejsko-chińskich, a w ich efekcie amerykańsko-europejskich. W wielu państwach świata, z Australią i USA na czele, mnożą się pytania o odpowiedzialność Państwa Środka za pandemię. Rosną napięcia na linii Waszyngton – Pekin poparte żądaniem ogromnych odszkodowań finansowych. Tymczasem Chiny, pomimo poważnych poszlak, nie chcą wziąć odpowiedzialności za epidemię i swoją spóźnioną reakcję na nią. Przeciwnie, kreują się na lidera w walce z pandemią, przejmując finansową kontrolę nad WHO. Uznają się przy tym za orędownika globalizacji nowego typu. Krytyka poczyniła władz chińskich przeplata się przy tym z wyrazami podziwu dla sukcesów w zarządzaniu patriarchalnym społeczeństwem w czasach pandemii (także dzięki SCS – *Social Credit System*) i szybkim powrotem na ścieżkę wzrostu. Rosnące zainteresowanie budzi praktykowany tam model „autorytarnego kapitalizmu państwowego” i „dyktatury deliberatywnej”, któremu to problemowi badawczemu poświęciłem swoją ostatnią książkę *Chińska strategia rozwoju społeczno-ekonomicznego. Implikacje dla Unii Europejskiej*. Tymczasem, jak wiadomo, administracja D. Trumpa traktuje Chiny jako największe zagrożenie dla świata. W przypadku J. Bidena widać, co prawda, zmianę retoryki, ale sens jego wypowiedzi niewiele odbiega od obecnego kursu Białego Domu. Unii brakuje z kolei spójnej i strategicznej polityki wobec Chin, co dziwi tym bardziej, że dla niej nadchodzi w istocie czas prawdziwej próby i wyboru strategicznego partnera. W mojej opinii UE powinna dążyć do obustronnie korzystnej współpracy z ChRL, ale nie za cenę doraźnych ustępstw i rezygnacji z własnego systemu wartości. Relacje z Chinami UE powinna mieć dobre i partnerskie, unikając w nich prób powielania ich modelu społecznego oraz uznania chińskiej polityki gospodarczej (*Xinomics*) za uniwersalny wzorzec do naśladowania.

Wymienione zagadnienia, jako jedno z wielu, wpisują się w priorytetowe cele prestiżowego grantu unijnego EU EX/ACT Jean Monnet Center of Excellence project: *EU External Actions in the contested global order – (in)coherence, (dis)continuity, resilience*, realizowanego na UAM pod kierunkiem prof. Tadeusza Wallasa. Od dwóch lat z powodzeniem realizuje go grupa cenionych badaczy z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, a szczegółowe informacje na ten temat znaleźć można na stronie: <http://coe.amu.edu.pl/>

Więcej na stronie www.uniwersyteckie.pl 

JASKÓŁCZE ZIELE LEKIEM NA COVID-19?

Naukowcy, którzy od lat badają glistnika jaskółcze ziele, przypuszczają, że związki w nim zawarte wykazują aktywność przeciwko SARS-CoV-2. Jeśli to udowodnią, mogą przyczynić się do odkrycia skutecznego lekarstwa na COVID-19.



Dr Alicja Warowicka oraz prof. Robert Nawrot z Wydziału Biologii UAM

O tym, że związki protoberberynowe, występujące m.in. w glistniku jaskółcze ziele (*Chelidonium majus* L.), wykazują silne działanie przeciwwirusowe, wiadomo od jakiegoś czasu, ale jak dotąd nikt nie wykazał, że tak jest również w przypadku nowego wirusa SARS-CoV-2.

Zamierzają tego dokonać uczeni z Wydziału Biologii UAM, dr Alicja Warowicka oraz prof. Robert Nawrot, którzy niedawno otrzymali grant w ramach konkursu ogłoszonego przez rektora UAM na najlepsze projekty dotyczące COVID-19.

– Zakładamy, że związki protoberberynowe mogą przyłączać się do białek wirusowych, które są kluczowe dla cyklu replikacyjnego wirusa, np. do białek zaangażowanych w proces replikacji SARS-CoV-2. Jest to jedno z zadań projektu, które chcielibyśmy sprawdzić za pomocą dokowania molekularnego – mówi dr Warowicka, kierownik projektu.

Naukowcy zamierzają się również dowiedzieć, czy związki, o których mowa, będą miały wpływ na wnikanie cząstek wirusa SARS-CoV-2 do komórek, czyli na pierwsze etapy infekcji wirusowej. W badania zaangażowana jest dr hab. Justyna Broniarczyk z Pracowni Wirusologii Molekularnej, która ma doświadczenie w pracy z cząstkami pseudowirusowymi. Cząstki te posłużą jako model do przeprowadzenia badań założonych w projekcie. Nad całością czuwa prof. Anna Goździcka-Józefiak. – Wszyscy jesteśmy uczniami pani profesor i teraz wspólnie łączymy siły – podkreśla prof. Nawrot, kierownik Pracowni Wirusologii i Molekularnej, który bada białka znajdujące się w soku *Chelidonium majus* L.

– Ten projekt idealnie wpisuje się w nasze plany. Od dawna myśleliśmy, żeby wykorzystać związki protoberberynowe z glistnika jaskółcze ziele w terapii różnych infekcji wirusowych. Początek pandemii zadecydował, że zaczęliśmy zastanawiać się nad zbadaniem ich działania w kierunku koronawirusów. Może się okazać, że będą one działać również na SARS-CoV-2. Mamy ku temu przesłanki. Wirusy są, co prawda różne, ale badania wykazują, że dopasowywanie małych cząsteczek związków berberynowych może blokować białka wielu różnych wirusów – wyjaśnia prof. Nawrot.

W kolejnym etapie projektu biolodzy zbadają, czy związki protoberberynowe oddziałują z charakterystycznymi strukturami znajdującymi się w genomie wirusów. – Występują one zarówno u wirusów typu DNA, jak np. HPV, ale też u wirusów typu RNA, jakimi są koronawirusy. Mówię o strukturach, które tworzą się w genomie w miejscach bogatych w guano-

zynę, a dokładnie o G-kwadrupleksach. Struktury te mogą mieć wpływ na replikację oraz brać udział w regulacji ekspresji genów. Dowody na to, że niektóre niskocząsteczkowe związki pochodzenia roślinnego oddziałują z tymi strukturami, już są. Jeśli uda nam się wykazać, że związki protoberberynowe poprzez oddziaływanie z G-kwadrupleksami mogą blokować replikację wirusa i ekspresję wirusowych genów, to myślę, że będziemy bliżej celu, aby znaleźć środek terapeutyczny – dodaje dr Alicja Warowicka

Naukowcy podkreślają, że pracują zespołowo. Projekt w większości będzie zrealizowany w Pracowni Wirusologii Molekularnej. Doświadczenie naukowe pracowników oraz wyposażenie pracowni pozwoli na wykonanie planowanych w projekcie eksperymentów. W projekcie założona jest również współpraca z Wydziałem Fizyki UAM, gdzie naukowcy przeprowadzą część dokładnych analiz oddziaływań badanych związków z G-kwadrupleksami. – Obecnie w nauce trzeba wykorzystywać różne techniki badawcze. Sami wszystkiego nie wykonamy. Aby dobrze zrealizować cele założone w projekcie, potrzebujemy współpracy z innymi biologami, bioinformatykami i fizykami. Każdy z nas ma wiedzę i doświadczenie w swojej dziedzinie, co należy łączyć. Na pewno będziemy chcieli rozwinąć nasze badania, a do tego potrzebny jest silny, interdyscyplinarny zespół – mówi dr Warowicka, współpracująca również z Centrum Nanobiomedycznym UAM.

Grant wystarczy na zakup odczynników i prowadzenie badań przez pół roku. Pozytywne wyniki będą podstawą do ubiegania się o kolejne finansowania i kontynuację badań, które mogą pomóc w walce z pandemią.

Przypomnijmy, że nie po raz pierwszy piszemy o badaniach nad glistnikiem jaskółcze ziele, którego ekstrakt skrywa olbrzymi potencjał leczniczy. Wykazuje on właściwości przeciwwirusowe i antynowotworowe. Poznańscy biolodzy udowodnili już, że o silnym antyproliferacyjnym działaniu ekstraktu decyduje znajdująca się w nim heterogenna frakcja protoberberynowa, w której skład wchodzi, oprócz czystej berberyny, również jej pochodne. Dalsze badania wykazały, że związki te hamują rozrost komórek błony śluzowej macicy w endometriozie. To bardzo ważne odkrycie, ponieważ do tej pory nie wynaleziono leku na tę chorobę, mogącą prowadzić do niepłodności, a nawet rozwoju nowotworu.

Ewa Konarzewska-Michalak

ZMOTYWOWAĆ PROZDROWOTNIE

Badanie, którego współautorem jest prof. Grzegorz Króliczak z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki UAM, pokazuje jak poprawić postawy prozdrowotne społeczeństwa w trakcie pandemii COVID-19.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Wybuch pandemii COVID-19 spowodował, że niemal na całym świecie zarówno rządy, jak i badacze obrali dwie ścieżki, które miały przyczynić się do rozwiązania tego największego od lat kryzysu zdrowotnego. Uznano, że do zredukowania efektywnej liczby reprodukcji wirusa wśród ludzi najprościej jest doprowadzić (1) narzucając restrykcje, poprzez zamykanie zakładów pracy i wprowadzanie nadzwyczajnych reguł zachowań w przestrzeni publicznej oraz (2) poszukiwanie skutecznych szczepionek i leków.

Choć trudno na krótką metę kwestionować zasadność tych działań, badanie Fischera i współpracowników pokazuje, że w dłuższej perspektywie możliwa, czy nawet konieczna jest trzecia droga. Propozycja ta skupia się na rozpoznawaniu i modyfikacji postaw poprzez motywowanie zachowań prozdrowotnych. Jest to o tyle ważne, że – w kontekście naszego zdrowia – każdy z nas ma korzyść ze stosowania się do tych zasad, ale wiele osób ma silną motywację, by się do nich nie stosować. Nasze badanie pokazuje, jak osiągnąć lepszy wskaźnik przestrzegania przepisów prozdrowotnych bez przymusu narzuconego z zewnątrz. W tym celu, zaprojektowaliśmy krótką ankietę, która łączy w sobie trzy elementy: (1) pomiary nie wprost oraz (2) spersonalizowane działanie interwencyjne, które staje się (3) zabiegiem zmieniającym nastawienie ludzi. W języku angielskim wychodzi z tego bardzo ładny akronim: (1) Indirect Measurements, and (2) Personalized, (3) Attitude Changing Treatments – IMPACT, co można przetłumaczyć jako wstrząs, wpływ, lub oddziaływanie. Wyniki pokazują wyraźnie, że nawet niewielki klaster krótkich interwencji, takich jak: (a) omówienie negatywnych, konsekwencji niestosowania się do przepisów prozdrowotnych, (b) wprowadzenie dysonansu poznawczego (np. poprzez wskazanie niezgodności naszych przekonań z wiedzą fachową), (c) skupianie uwagi na konsekwencjach dla najbliższej rodziny, czy ludziach nam podobnych i (d) otrzymanie porady po ocenie stanu zagrożenia, znacząco poprawia postawy prozdrowotne jednostek.

Ankieta była udostępniana przez internet, prosiliśmy uczestników o odpowiedź na kilka krótkich pytań oraz o realizację drobnych zadań, korzystając z komputera czy telefonu. Odpowiedzi na prezentowane w kolejności przypadkowej pytania udzielano zarówno przed, jak i po interwencji, co niektórych zniechęcało. Mimo to, na naszą ankietę w pełni odpowiedziało ponad trzy tysiące respondentów. Najwięcej z nich pochodziło z USA (odpowiadali w j. angielskim), z Izraela (w j. hebrajskim i arabskim),

Polski i Niemiec. Jednak lista państw jest znacznie dłuższa, obejmując m.in. kraje takie, jak Albania, Argentyna, Bangladesz, Belgia, Botswana, Chile, Dania, Egipt, Indie, Katar, Kolumbia, Maroko, Nowa Zelandia, Oman, Syria, Turcja, czy Uganda.

Uzyskane przez nas wyniki pokazują skuteczność tej metody w doprowadzaniu do poprawy zachowań prozdrowotnych w trakcie trwania pandemii COVID-19. Dlatego też proponujemy, by zainteresowane kraje i instytucje wykorzystały tego typu podejście zarówno podczas lockdownu, jak i w trakcie wznowiania aktywności społeczno-gospodarczej, mimo trwającej pandemii.

Badanie zostało zrealizowane przez międzynarodową grupę badaczy, pracujących na co dzień w następujących jednostkach: Uniwersytet w Hajfie (Izrael), Uniwersytet z Princeton (USA), UAM, Uniwersytet Techniczny w Monachium oraz Uniwersytet Koloński. Liderem tego przedsięwzięcia i głównym autorem korespondencji jest prof. Ilan Fischer z Uniwersytetu w Hajfie. Za nadzorowanie części polskiej odpowiedzialny był prof. Króliczak, który również miał udział w interpretacji wyników, przygotowaniu części manuskryptu i redakcji jego ostatecznej wersji.

Grzegorz Króliczak (UAM), Ilan Fischer (University of Haifa), Daniel I. Rubenstein (Princeton University)

Artykuł został opublikowany przez Royal Society Open Science.

KOMENTARZ:



prof. UAM dr hab. Michał Klichowski
Wydział Studiów Edukacyjnych UAM

Niezwykle cenię ten pomysł, gdyż jest on w swej istocie głęboko pedagogiczny. Zakłada, że strategią obrony przed koronawirusem nie jest behawiorystyczny trening zachowania, w którym narzuca się nam zasady i egzekwuje ich aplikację w racjonalności kar i nagród, ale edukowanie społeczeństwa i ukazywanie mu, że pewne – czasem drobne – modyfikacje naszych codziennych nawyków (często zupełnie nieuciągliwe), są najlepszą formą ochrony. Innymi słowy, praca, której współautorem jest prof. Króliczak proponuje, by zamiast narzucać sztywne reguły sanitarne, kształtować postawy prozdrowotne poprzez humanistyczno-konstruktywistyczne edukowanie. Ważne, by zwłaszcza pedagodzy i nauczyciele głęboko zinternalizowali wyniki tych badań. To bowiem oni stanowią teraz – po powrocie uczniów do szkół – model poprawnego zachowania w czasach COVID-19.

UNIwersytet Poznański NIE STANOWIŁ SZCZEGÓLNEGO PRZYPADKU...

Z prof. Anną Wolff-Powęską rozmawia Magda Ziółek



FOT. ADRIAN WYKROTA

Należy pani do grona naukowców, którzy badali przypadki antysemityzmu na UP. Czy te badania odkryły coś, czego pani wcześniej nie wiedziała, nie przeczuwała?

Projekt nie jest skończony. Ciągłe trwają jeszcze badania i z pewnością ich efekty nie usatysfakcjonują wszystkich. Zdumiewać może jednak fakt, że nikt dotąd nie podjął się realizacji tego ambitnego zadania. Jeśli chodzi o mnie, to relacje na poznańskim uniwersytecie znajdowały się daleko poza sferą moich zainteresowań. Przez dekady byłam skupiona na stosunkach międzynarodowych oraz historii myśli politycznej w Europie, głównie na obszarze niemieckojęzycznym. Moi rodzice, rodzina, wszyscy pochodzili ze środowisk odległych od życia uniwersyteckiego. Temat był im całkowicie obcy.

Nie znaczy to bynajmniej, że kwestia antysemityzmu była mi obojętna. Nie sposób zajmować się dziejami niemieckiej myśli politycznej bez uwzględnienia roli antysemityzmu w dziejach tego narodu. W 2003 r. opublikowałam książkę o postawie niemieckich Kościołów wobec tzw. problemu żydowskiego. Studia nad tym tematem pozwoliły mi głębiej wejść w warunki egzystencji Niemców pochodzenia żydowskiego, wzajemnych relacji, nade wszystko jednak szukać odpowiedzi na pytanie o korzenie antyjudyzmu w całej Europie. Hierarchowie Kościołów katolickiego i protestanckiego, teolodzy, wykładowcy uniwersyteccy byli głęboko uwikłani w rasistowskie działania.

Wydawać by się mogło, że to właśnie uniwersytety powinny być wolne od wszelkiego rodzaju ideologii i otwarte dla wszystkich?

Z pewnością ma pani rację, mówiąc, że od uniwersytetów oczekiwac się winno wewnętrznej suwerenności. W końcu *alma mater* stanowiła przez wieki synonim humanizmu, centrum oświecenia o kulturotwórczym znaczeniu. Tak więc antysemityzm stanowił zaprzeczenie idei *universitas*, powszechności i całościowego traktowania wspólnoty uczelnianej, odległy od Humboldtowskiego ideału wartości uniwersyteckich. Pozostaje on jednym z najbardziej wstydliwych i mrocznych rozdziałów w dziejach europejskich uniwersytetów. Uniwersytet Poznański nie stanowił bowiem szczególnego casusu.

Źródła antysemityzmu na uczelniach wyższych należy szukać zarówno w uwarunkowaniach historycznych i przemianach politycznych, społecznych, jak i w zakorzenionych od wieków w świadomości ludzi uprzedzeniach i negatywnych stereotypach. Nade wszystko stanowił on integralny element tożsamości kształtujących się w XIX stuleciu państw narodowych i ich elit. W przeciwieństwie jednak do tradycyjnego antyjudyzmu nowoczesny antysemityzm potrzebował naukowego, a de facto pseudonaukowego wsparcia.

Postawa studentów i wykładowców wobec społeczności żydowskiej w dwudziestolecie międzywojennym była m. in. reakcją na postępującą emancypację żydowskiej mniejszości w okresie rozkwitu idei liberalizmu, wolności, demokracji. Wiara w postęp, hasła równości i braterstwa stanowiły wyzwanie, które obok entuzjazmu elit środkowoeuropejskich wyzwało lęk przed zakłóceniem dotychczasowego porządku. Wielu naukowców w całej Europie dostarczało pseudoargumentów dla uzasadnienia wyższości białej rasy nad innymi. To m. in. fikcyjne Protokoły Mędrców Syjonu, tezy darwinizmu społecznego oraz pisma Arthura de Gobineau trafiały na podatny grunt w czasie, gdy powstające państwa narodowe potrzebowały legitymizacji nowych porządków, mitów założycielskich integrujących społeczności o różnych etnicznych korzeniach. Europa Środkowo-Wschodnia, której „opóźnione” w stosunku do zachodnich narodów miały szczególną potrzebę demonstracji jedności etnicznej, stanowiła istotny rozsadnik antyżydowskości.

We wszystkich odrodzonych państwach siły liberalne i lewicowe były niezwykle słabe, niezdolne do obrony raczkującej demokracji, która rychło została zmieciona ze sceny dziejowej przez środowiska prawicowo-nacjonalistyczne. A słaba demokracja oznaczała łatwość ulegania faszyzacji. Antysemityzm, bazujący na antyjudyzmie, zakorzenionym szczególnie w krajach katolickich, znalazł w ruchu faszystowskim i nacjonalizmie najlepszą i najskuteczniejszą pożywkę.

Dlaczego Żydzi byli tak groźni dla rodzących się właśnie nowych organizmów państwowych. W czym upatrywano zagrożenie?

Poczucie zagrożenia było inspirowane w dwudziestolecu międzywojennym przez różne środki przekazu, głównie prasę, broszury, plakaty, podręczniki szkolne. Wszędzie pojawiały się identyczne oskarżenia, utrwalone przez wieki i odporne na wszelką racjonalną perswazję. Żydzi jako beneficjenci oświeceniowej przemiany dzielili prądy ideowe liberalizmu, które przyniosły im w Europie prawo do godnego życia. Początek wolności i rozkwitu żydowskiej przedsiębiorczości zbiegł się w czasie z przeobrażeniami struktur społecznych, efektem urbanizacji i industrializacji na przełomie XIX i XX w. Żydzi budzili więc zazdrość otoczenia. Inteligencja żydowska korzystała z dobrodziejstw nowej epoki. Zachłystnęła się możliwością kształcenia. Ich pozycja, osiągnięcia naukowe i gospodarcze kontrastowały tym bardziej ze światem ubóstwa wielkomiejskiego. W krajach katolickich, jak Austria, Polska, Węgry, gdzie według wszelkich wyobrażeń Żydzi jako „bogobójcy”, którzy dawno powinni być skazani na nicość, trwali i rozwijali się, trudno było pogodzić się z nową sytuacją.

W efekcie próbowano w sposób „naukowy” opisywać powody, dla których nie powinni studiować, a w konsekwencji sprawować ważnych społecznie funkcji. Może pani opowiedzieć o tym, jakimi posługiwano się argumentami?

Arsenał argumentów antyżydowskich na uczelniach był bogaty. Główny argument to zarzut nadreprezentacji Żydów wśród absolwentów studiów wyższych, czy wręcz „nadmiernej ekspansji żydowskiej” i konieczność „ochrony młodzieży chrześcijańskiej klasy średniej”. Oskarżenie to, wszechobecne we wszystkich krajach Europy Środkowej, było umocowane w stereotypie Żydów jako dominującej grupy w najważniejszych sektorach życia społecznego i gospodarczego. Wynikało to z faktu, że większość społeczności żydowskiej mieszkała w miastach. Na Węgrzech minister kultury tłumaczył bez ogródek w 1926 r., że „całkowite otwarcie bram uniwersytetu byłoby katastrofą”. Wiązało się to z wojną ideologiczną. Studentów ze Wschodu traktowano jako agentów komunistycznych. Liderzy zamieszek antysemitycznych często wywodzili się ze środowisk wiejskich, którzy swe kompleksy związane z nędzą życia na prowincji, przeprowadzką do miast, wyalienowaniem, odreagowywali agresją, postrzegając młodzież pochodzenia żydowskiego jako obcą i wroga.

We wszystkich krajach tego regionu ustawa o *numerus clausus* traktowana była jako „kulturowa konieczność”. Posługiwano się pojęciem „antysemityzmu konieczno-obronnego”. Rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Stanisław Pigoń, odrzucał pomysł egzaminu wstępnego, argumentując, że dawałby on pierwszeństwo żydowskim studentom, którzy „jako intelektualiści rozwijają się wcześniej niż Słowianie i lepiej zdają egzaminy”. Na uniwersytecie w Budapeszcie zarzucano żydowskim akademikom „nadmierny intelektualizm” i nie ukrywano obaw wobec ich pomysłowości, talentów, pracowitości, przede wszystkim konkurencyjności, które to cechy, jak pisano, przekraczają możliwości „rasy węgierskiej”. Prasa akademicka w Wiedniu rozbudzała obawy przed napływem studentów i akademików żydowskich ze Wschodu (Ostjuden) w obawie, że „dla naszych może zabraknąć chleba”.

W latach trzydziestych coraz częściej pojawiały się jawne rasistowskie zarzuty. Rasistowski antysemityzm stanowił wszędzie poza Czechosłowacją ideologię integrującą katolicko-narodowe siły. Wszelkie akty przemocy fizycznej potrzebowały uzasadnienia. Prym wiodły w tym względzie wydziały medyczne, szczególnie instytuty anatomii. „Niech żyje medycyna bez Żydów” głosiły hasła polskich studentów; wyrażały one nastroje w większości krajów w tej części Europy. Powszechny był zarzut, że Ży-

Arsenał argumentów antyżydowskich na uczelniach był bogaty. Główny argument to zarzut nadreprezentacji Żydów wśród absolwentów studiów wyższych

dzi nie dostarczają zwłok do prosektoriów, gdyż chcą się uczyć „na trupach chrześcijańskich”. W uzasadnieniu przemocy w prosektoriach pojawiały się także stwierdzenia, że studenci żydowscy nie chcą poddawać sekcji zwłok żydowskich, bo obawiają się ujawnienia, że ich „ciała skupiają wszystkie anomalie i że ich rozum ma odmienny charakter aniżeli nieżydowskie rozumy. Dlatego tylko w ich umysłach może zrodzić się bezsensowny pacyfizm”.

Długa tradycja antyjudazmu w Austrii pozwalała na otwarcie rasistowskie ataki wobec wykładowców i studentów żydowskich. Tutaj już w pod koniec XIX w. katolickie pismo głosiło: „Żyd nie jest Niemcem, lecz Azjatą i nawet Semitą”. Profesor medycyny pisał w 1875 r., że węgierscy i galicyjscy studenci medycyny wykazują pewne „duchowe i cielesne upośledzenie”, co dyskwalifikuje ich w zawodzie lekarza. Między bowiem „czysto niemiecką i czysto żydowską krwią” istnieje nie do przeczyżenia różnica. „Inwazję obcych rasowo elementów” ze Wschodu określano „rakiem naszych akademickich stosunków”. Czasopisma akademickie w Wiedniu nie przebiegały w słowach, określając Żydów „najmniej wartościową na świecie rasą kundli”, „rasą strasznych bękartów”.

Ograniczanie dostępu do uczelni traktowano jako uzasadnioną „ochronę zawodów owocnych finansowo”. Wszechobecna była propaganda o „żydowskim spisku”. Antysemityzm inspirowany był narastającymi tendencjami nacjonalistycznymi. Nie ukrywano, że należy bronić „zdrowego organizmu narodowego”. W końcu na Uniwersytecie Warszawskim w 1937 r. padła deklaracja, że Żydzi są tu „mile widziani, ale jako obiekty w prosektorium”.

Wspomniała pani nazwisko prof. Stanisława Pigonia, również na UP antysemityzm popierało kilku wybitnych profesorów. Mam z tym problem. Dla mnie to, jakimi byli ludźmi, kładzie cień na ich dokonania naukowe. Czy można te dwie sfery życia oddzielić tak, aby na powrót zaufać im jako naukowcom?

Problem uczonych o znacznych dokonaniach naukowych, skazanych rasizmem i antysemityzmem to m. in. problem moralny. Nie oceniam ich, chcę zrozumieć. Jeśli jednak porównamy obecną sytuację nie tylko w Polsce, kiedy coraz powszechniejsze staje się zjawisko wspierania przez elity najbardziej karkołomnych tez i działań, dyskryminujących mniejszości przez władze demokratycznych państw, to nie trudno spostrzec, że konformistyczne dostosowanie się do sytuacji, kłamstwo i fanatyzm, które cechowały antysemitckie elity międzywojnia, mają się dzisiaj równie dobrze. Rasistowskie wypowiedzi hierarchów Kościoła, jak i różnej maści polityków wywodzą się z tych samych źródeł ideowych i kierują się tą samą potrzebą dyskredytacji innego dla wzmocnienia poczucia własnej wartości.

RAZEM DLA KLIMATU

Coraz mocniej odczuwamy skutki ekstremalnych zjawisk związanych z ociepleniem klimatu.

Jak sobie z nimi radzić? Odpowiedzi na to pytanie szukają europejscy naukowcy, którzy prowadzą projekt TeRRIFICA.

Przedsiewzięcie prowadzone jednocześnie w sześciu pilotażowych regionach: Hiszpanii, Niemczech, Francji, Serbii oraz Polsce i Białorusi wpisuje się w ideę nauki zakorzenionej społecznie. – Bardzo ważną funkcją zarówno nauki, jak i uniwersytetu jest, żebyśmy odkrywając to, co nieznane, pomagali ludziom żyć dobrze, a jeśli można – lepiej. Społeczeństwo nie może być w tym procesie tylko odbiorcą. Ma być współtwórcą. Naszym zadaniem w projekcie jest pozyskanie wiedzy od mieszkańców i spożytkowanie jej do wspólnego wypracowania sposobów ograniczania zmian klimatu lub zaadaptowania się do nich – wyjaśnia prof. Paweł Churski, dziekan Wydziału Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej UAM, który kieruje polskim zespołem w międzynarodowym konsorcjum projektu TeRRIFICA (Horizon 2020).

Praktycznym celem projektu jest wprowadzenie proponowanych rozwiązań w działania operacyjne polityki regionalnej w różnych krajach europejskich. To może się udać, jeśli w procesie ich powstawania obok naukowców będą uczestniczyć lokalne samorządy, społecznicy, mieszkańcy i przedstawiciele biznesu. Wspólnie opracowane pomysły łatwiej będzie zaakceptować i wprowadzić w życie niż rozwiązania narzucone z góry. Dlatego też obok uczelni z Polski, Niemiec i Hiszpanii partnerami w projekcie są organizacje pozarządowe z Niemiec (lider projektu – WILA Bonn) i Francji oraz przedstawiciele administracji państwowej na Białorusi i w Serbii.

– Różnicowanie geograficzne partnerów pokazuje unikalny konglomerat różnych uwarunkowań: kulturowych, instytucjonalnych, ustrojowych. Są wśród nich starzy i nowi członkowie Unii Europejskiej, są państwa spoza Unii, w tym Białorusini, którzy przeżywają teraz bardzo trudny czas. To, z jak różnych punktów widzenia oraz w jak różnych uwarunkowaniach patrzymy na te same problemy, jest dla nas bardzo interesujące i rozwijające – podkreśla prof. Churski.

Pierwszy etap projektu polega na zidentyfikowaniu zmian klimatycznych dotkliwych dla mieszkańców. Do tego celu służy aplikacja do powszechnego zbierania informacji za pośrednictwem internetu (crowdmapping), którą wykonał dr Michał Rzeszewski z WGSEiGP. Warto zaznaczyć, że ta aplikacja została przetestowana i przetłumaczona na wszystkie języki narodowe partnerów, a obecnie jest stosowana w regionach pilotażowych, również w aglomeracji poznańskiej. Co ważne, będzie ona dostępna bez ograniczeń czasowych, także po zakończeniu projektu, planowanym na 2022 rok.

W akcji mapowania może wziąć udział każdy, wchodząc na stronę <http://mapujklimat.terrifica.eu/> i zaznaczając miejsca, gdzie obserwuje zarówno korzystne, jak i niekorzystne zmiany dotyczące jakości powietrza, wody, temperatury, gleby oraz zjawisk związanych z wiatrem. – Nie ma dobrych czy złych odpowiedzi oraz opinii. Chodzi tylko i wyłącznie o osobiste doświadczenia, związane ze zmieniającym się klimatem – przekonują naukowcy.



Dr Piotr Lupa



Prof. Paweł Churski

FOT. 2X ADRIAN WYKROTA

Z czasem na mapie powstaną skupiska wskazywane przez wiele osób (tzw. hotspoty) – to nimi w dalszej kolejności zajmą się uczestnicy projektu. Internauci, naukowcy, mieszkańcy i urzędnicy oraz inne zainteresowane osoby wezmą udział w warsztatach współtworzenia, na których zastanowią się, jak rozwiązać zasygnalizowane problemy (tzw. etap żyjącego laboratorium). – Podstawą warsztatów jest rozpoczęcie od „pustej kartki”; nie narzucamy żadnych rozwiązań i nie promujemy żadnych pomysłów. Będziemy starali się skłonić ludzi do współtworzenia czyli wypracowania razem, od zera, akceptowanych przez wszystkie strony rozwiązań – wyjaśnia dr Piotr Lupa.

Przy realizacji projektu naukowcy współpracują z różnymi instytucjami i firmami, m.in.: z poznańskim magistratem, Stowarzyszeniem Metropolia Poznań, urzędem marszałkowskim, biznesem (m.in. Aquanet, VW), Piątkowską Szkołą Społeczną, a także szkołami tworzącymi Edukacyjną Sieć Antysmogową. – Ważnym partnerem są również organizacje pozarządowe: Centrum Promocji Ekorozwoju, Ekologiczne Puszczykowo. Liczymy, że uda się włączyć do współpracy jeszcze więcej prężnie działających organizacji – informuje dr Lupa.

Badaczom zależy, by doświadczenia związane z projektem znalazły odzwierciedlenie w planie adaptacji do zmian klimatu dla aglomeracji poznańskiej. Samorządowcy będą mogli np. skorzystać z baz danych zgromadzonych dzięki crowdmappingowi, a także z wypracowanych w projekcie rozwiązań. – Będzie to bardzo konkretny efekt projektu. Z takim planem będzie się identyfikowała większa liczba mieszkańców, niż z dokumentem, który powstaje na biurku prezydenta, albo jest zamawiany w jakiejś instytucji, ale niekonieczne odpowiada na najważniejsze potrzeby ludzi – podsumowuje prof. Churski.

Ewa Konarzewska-Michalak



MAPUJKLIMAT.TERRIFICA.EU

POZNAJĄ TAJEMNICE KURHANÓW

Archeolodzy z UAM wznowili wykopaliska na cmentarzysku kurhanowym w Mirosławiu [powiat pilski]. – To terra incognita, miejsce do tej pory nie badane archeologicznie. Sondażowe badania dają podstawy, by rozpocząć tu wieloletni projekt naukowy – informuje prof. Andrzej Michałowski, dziekan Wydziału Archeologii UAM.

Nekropolia składająca się z siedmiu kurhanów w lasach opodal Mirosławia nad Notecią, naukowcy interesują się od 2016 roku. Wtedy rozpoczęli wykopaliska od najmniejszego, siódmego kurhanu, żeby sprawdzić chronologię stanowiska i poznać kulturowy obraz pochówków. – Kurhany w pradziejach występują w różnych momentach – okazało się że ten kurhan pochodzi z okresu wpływów rzymskich, bardzo interesującego pod względem badawczym. To był strzał w dziesiątkę – twierdzi prof. Andrzej Michałowski, który kieruje badaniami.

Badania zakończyły się spektakularnym odkryciem grobu szkieletowego. Zmarłą, nazwaną później „księżniczką walkowicką”, okazała się młoda kobieta (19-21 lat) pochowana z wyposażeniem i ozdobami właściwymi dla kultury wielbarskiej. Archeolodzy znaleźli m.in. srebrne bransolety i wisiorek, kołę z kościanych paciorków oraz belemnity. Między kurhanami natrafili również na grób ciałopalny małego dziecka.

Pierwszy sezon, bardzo spektakularny, zainteresował miejscową społeczność, a przede wszystkim Lasy Państwowe. Nadleśnictwo Sarbia i Okręgowa Dyrekcja Lasów Państwowych w Pile cały czas wspierają pracę archeologów zarówno pod względem finansowym, jak i logistycznym.

Latem tego roku badacze rozkopali pierwszy, a zarazem największy kurhan, najdalej położony na zachód od poprzedniego. Znalezione w nim zabytki wskazują, że mógł on powstać na początku III wieku n.e, około 50 lat później niż siódmy kurhan datowany na połowę II w. n.e. Choć archeolodzy spodziewali się znów trafić na grób szkieletowy, co sugerowała kamienna komora grobowa w kształcie prostokąta, to tym razem znaleźli pochówek ciałopalny około pół metra poniżej komory. Taki zabieg zabezpieczył grób przed rabunkiem. Niestety fakt, że ciało spalono, sprawił, że niewiele przedmiotów związanych z pochówkiem zachowało się do naszych czasów. Znalezione m.in. dwa bodźce ostrzygi i ubogie wyposażenie sugerowały, że zmarły był mężczyzną. Badania antropologiczne wykazały jednak, że pochowano tam kobietę.

Sam kurhan kryje wiele tajemnic. Po jego odsłonięciu niespodziewanie okazało się, że tworzą go albo dwa mniejsze kurhany połączone w trzeci albo budowniczywie kilka razy zmieniali koncepcję tworzenia kopca. W samym nasypie znajdowało się zaskakująco dużo ceramiki. – Ponad tysiąc fragmentów bardzo dobrze zachowanych ułamków naczyń, niektórych delikatnej roboty z ornamentami. To niezwykle ciekawy materiał, który może dostarczyć nowych informacji na temat garncarstwa i chronologii samego stanowiska – mówi prof. Michałowski.



FOT. WYDZIAŁ ARCHEOLOGII UAM

Archeolodzy znaleźli też elementy żelazne m.in. nożyk i szpile. To niecodzienne artefakty, bo kultura wielbarska nie dopuszczała używania w obrzędowości pogrzebowej przedmiotów wytworzonych z tego metalu. Pod nasypem natrafiono na ślady po piecach dymarskich do wypału żelaza. – Znaleźliśmy trzy wypalone negatywy w rozgrzanym piasku i jeden spąg paleniska pieca dymarskiego, a w nasypie bardzo dużo żużlu żelaznego. To by świadczyło o istnieniu czarnej metalurgii, która na pewno wiązała się z tym stanowiskiem, a czy z samym kurhanem? Trudno powiedzieć.

Pod kopcem naukowcy odkryli ślady orki. Mogą to być pozostałości po uprawie roli albo sakralizowanej orki, która wyznaczała teren pod kurhan. Co ciekawe w niedalekiej okolicy natrafiono na ślady osady. Badania geomagnetyczne wykonane przez dr. Jakubę Niebieszczańskiego wskazały na istnienie pozostałości po zagrodzie. Archeolodzy znaleźli też fragmenty ceramiki kompatybilnej z przedmiotami znalezionymi w kurhanach, żużli żelaznych i polepy konstrukcyjnej. Nie ma tam obcych kulturowo elementów ani śladów wcześniejszego, czy późniejszego osadnictwa. Poza stanowiskiem nr 37 znajdują się jeszcze cztery skupiska kurhanów, prawdopodobnie pochodzących z podobnego okresu. Biorąc to wszystko pod uwagę, archeolodzy mają podstawy, by powiązać ślady osadnictwa z badaną nekropolią.

Pionierskie badania sugerują, że południowy brzeg pradoliny Noteci mógł być ludnie zamieszkały w okresie wpływów rzymskich z czego naukowcy nie zdawali sobie sprawy. Ten rejon był pomijany w badaniach archeologicznych, ponieważ sądzono, że osadnictwo skupiało się w północnej strefie. – Mikroregion walkowicki, między Walkowicami a Mirosławiem jest genialny. To terra incognita, miejsce do tej pory nie badane. Sondażowe badania dają podstawy, by rozpocząć tu wieloletni projekt naukowy – podsumował prof. Michałowski.

Ewa Konarzewska-Michalak



CHCĘ BUDOWAĆ MARKĘ UCZELNI

Z prof. Arturem Stefankiewiczem,
najmłodszym profesorem tytularnym
na Wydziale Chemii i zastępcą dyrektora
Centrum Zaawansowanych Technologii,
o drodze naukowej i planach na przyszłość,
rozmawia Krzysztof Smura

FOT. ADRIAN WYKROTA

Jest pan najmłodszym profesorem na wydziale i z pewnością jednym z najmłodszych w UAM. Nie czuje się pan nieswojo?
Raczej nie. Świat się zmienia. Dziś wszystko przebiega dużo szybciej niż kiedyś. To znak czasów. Myślę, że w najbliższych latach możemy spodziewać się grupy profesorów tytularnych w podobnym wieku do mojego.

Wyczuwa pan jakąś zazdrość wokół?

Jeśli takowa jest, to ja i tak nie zawracam sobie tym głowy. Ciągłe dźwięczą mi w uszach słowa mojego promotora doktoratu prof. Jean Marie Lehna, który mówił, że bym nie oglądał się na nikogo i skupił na robieniu dobrej nauki – tak też staram się robić.

Profesor Lehn, laureat Nagrody Nobla, oceniając pana doktorat, napisał „wyjątkowy”. Co tak zachwyciło noblistę?

Myślę, że trzeba by go spytać (śmiech). Moja ocena nie będzie obiektywna, wiem jednak, że wszystko to, czym zajmowałem się podczas doktoratu, sprawiało mi dużo satysfakcji. Czy doktorat był wyjątkowy? Na pewno ciężko podczas doktoratu pracowałem, bo taka jest specyfika pracy w zespole prof. Lehna. W laboratorium przebywaliśmy siedem dni w tygodniu, po kilkanaście godzin dziennie – to była norma. Natomiast warto zaznaczyć, że szef nigdy od nikogo tego nie wymagał. Klimat naukowy oraz zespół, jaki stworzył u siebie w instytucie sprawił, że wszystkim bardzo zależało na osiągnięciu założonych celów. Ponadto on sam, pomimo swoich wielkich osiągnięć naukowych, do dziś aktywnie pracuje, dając przykład młodszym współpracownikom. Między innymi dlatego wszyscy, którzy mieli okazję z nim współpracować, bardzo go szanują. Ja sam, gdy tylko odebrałem nominację profesorską, natychmiast zadzwoniłem do niego, żeby go o tym poinformować. I niech pan zgadnie, gdzie go zastałem w niedzielę o 17.00?

To nie jest trudne, ale spytam przekornie. Na angielskiej herbatce?

Oczywiście w swoim biurze w instytucie. Profesor bardzo się ucieszył z tej informacji, natomiast już po chwili rozmowa zo-

stała przekierowana na tematy czysto naukowe. To tylko pokazuje jego oddanie nauce. Genialny umysł. Najwyższa światowa liga.

Zespół profesora Lehna, czyli?

Podczas doktoratu pracowaliśmy w międzynarodowym zespole liczącym około 50 osób. Wszystkich przyciągnął magnetyzm jego nazwiska i przygoda naukowa, jaką zapewniał. Do dziś jeżdżą do niego moi doktoranci i wszyscy jednogłośnie podkreślają, że po spotkaniu z profesorem dostają naukowego „kopa”. To naukowy czarodziej, który mnie zaczerpował wiele lat temu podczas stażu, a potem powiedział krótko: wróć na doktorat.

I wrócił pan...

Tak, ale najpierw skończyłem studia w Poznaniu, potem ślub, a po krótkich wakacjach spakowałem swoje rzeczy i...na cztery lata wyjechałem do Strasburga.

Chyba wyjechaliście?

Niestety, wyjechałem sam. To była dla mnie niepowtarzalna szansa, z której musiałem i chciałem skorzystać. Moja żona Agata kończyła wówczas studia stomatologiczne i nie było możliwości, aby pojechała ze mną.

I z perspektywy czasu?

Zrobiłbym dokładnie tak samo. Wciąż jesteśmy razem (śmiech). Oczywiście, rozłąka nie była łatwa, ale jesteśmy nieprzerwanie razem od czasów liceum i niejedno mamy już za sobą. Przyjeżdżałem do Poznania raz w miesiącu na 2-3 dni. Potem pojawił się mój syn Wiktor i stało się jeszcze trudniej, ale przetrwaliśmy. Gdy kończyłem doktorat, otworzyła się przede mną perspektywa pracy w przemyśle. Bardzo kusząca i związana z moim kilkumiesięcznym pobytem w firmie BASF. Było to świetne doświadczenie, zupełnie inne niż to, które zdobyłem do tej pory. Natomiast moje wątpliwości dotyczące przyszłości rozwiązał szef, który zasugerował, abym w pierwszej kolejności skupił się na postdocu. Ten czas miał mi pomóc zdecydować, jaką ścieżkę kariery wybrać: pracę w przemyśle czy akademii. Ostatecznie

wybrałem uniwersytet w Cambridge i na cztery lata trafiłem do zespołu prof. Jeremiego Sandersa. To był świetny wybór, gdyż prof. Sanders dał mi pełną swobodę w realizacji moich pomysłów, co z pewnością pomogło mi uwierzyć, że dam sobie radę, prowadząc swój własny zespół. Do Anglii przeniosłem się już z rodziną, która po dwóch latach powiększyła się o kolejnego członka, moją córkę Hanię. Dzięki okresowi spędzonemu z Cambridge zyskałem pewność, że praca naukowa to jest to, co chcę w życiu robić i w sumie po 10 latach ponownie trafiłem do Polski z grantem Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej.

Wygrał szczególny powab UAM?

Faktem jest, że grant mogłem realizować gdziekolwiek i mimo pokus ze strony Uniwersytetu Warszawskiego, a całkiem niedawno z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nadal prowadzę swoje badania na UAM. Przeważała rodzina i przyjaciele. Ponadto UAM to moja Alma Mater i markę tej uczelni chcę budować poprzez swoje badania naukowe. Warunki, jakie obecnie ma mój zespół na Wydziale Chemii i w Centrum Zaawansowanych Technologii, są naprawdę bardzo dobre.

Specjalizuje się pan w chemii supramolekularnej. Co my, ziemianie, z niej mamy?

Myślę, że sporo. U podstaw chemii supramolekularnej leżą oddziaływania międzycząsteczkowe, dzięki którym małe cząsteczki oddziałują ze sobą, tworząc addukty mające właściwości zupełnie inne niż pojedyncze komponenty. Naczelnym przykładem jest DNA, w którym pojedyncze komponenty powiązane są ze sobą słabymi oddziaływaniami supramolekularnymi tworzącymi helisę, której funkcji i ważności nikomu tłumaczyć nie trzeba. Mój zespół natomiast skupia się na syntezie dynamicznych nanostruktur funkcjonalnych o sterowalnych właściwościach fizykochemicznych i co ważniejsze – funkcji np. w katalizie czy jako selektywnych receptorów.

Niedawno w *Nature Chemistry* ukazał się artykuł, na który złożyła się praca badawcza trzech zespołów, w tym i pańskiego, na temat syntezy porowatych cieczy jonowych zdolnych do selektywnego wiązania cząsteczek. Wśród tych ostatnich na szczególną uwagę zasługuje kompleksowanie cząsteczek fluorochlorowęglowodorów odpowiedzialnych za zjawisko spadku stężenia ozonu w stratosferze. Jakie znaczenie dla nas mają te badania?

Proszę pamiętać, że to ciągle są badania podstawowe, ale aby odpowiedzieć na to pytanie, posłużę się przykładem mojego mentora, który na moje pytanie: – Szeffie, po co my to robimy? – przytoczył mi historię sprzed 25 lat. Wówczas to jego zespół opublikował badania nad pewnym polimerem. Po upływie ćwierć wieku zadzwonił do niego przedstawiciel pewnej firmy stwierdzając, że chce ten polimer produkować, aby stworzyć z niego materiał do zastawek serca u dzieci. I to faktycznie działa! Konkluzja jednak była taka, że na etapie odkrycia naukowego nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy dany materiał będzie wykorzystany. Każdy z nas, projektując daną cząsteczkę czy materiał, ma w głowie jej potencjalne zastosowanie. Natomiast do realnej aplikacji jest bardzo długa i niezwykle kosztowna droga. Praca, o której pan wspominał, miała na celu stworzenie architektury o topologii klatki, która pomimo ciekłego stanu skupienia zachowała swoją porowatą strukturę i potrafi selektywnie wiązać substancje toksyczne. Jak to zrobić na skalę przemysłową? To już zadanie dla przemysłu i technologów. My swoimi badaniami udowodniliśmy, że koncepcja działa, a jak i czy w ogóle zostanie ona wykorzystana, to pokaże przyszłość.

Na pana naukowej ścieżce jest już 60 publikacji w znanych i wysokopunktowanych czasopismach, jest nagroda Polityki, sporo grantów badawczych, a ostatnio pisaliśmy, że stał się pan członkiem Akademii Młodych Uczonych PAN. To prestiż, czy coś więcej?

Zdecydowanie coś więcej niż tylko prestiż, choć faktycznie grono członków AMU PAN jest bardzo nieliczne. Natomiast jako AMU PAN mamy za zadanie opiniowanie projektów ustaw, dotyczących szkolnictwa wyższego, wypowiadanie się w kwestiach trapiących młodych naukowców, awansów, ewaluacji dorobku naukowego itp. Jesteśmy głosem młodych naukowców.

Co jest obecnie pana jęczyzkiem u wagi?

Ciężko powiedzieć. Pomysłów jest tak wiele i są tak różne... Obecnie chyba naczelnym tematem, który przewija się w moim zespole, są wszelkiego rodzaju klatki czy nanokapsuły. Kończymy, wydaje mi się bardzo ciekawą, pracę mojego doktoranta Marcina Konopki, w której przedstawimy termodynamikę i kinetykę tworzenia strukturalnie różnych nanokapsuł rozpuszczalnych w wodzie. Kolejna praca, która powinna się niedługo ukazać, to projekt mojej doktorantki Ani Brzechwy, pracującej nad klatkami fluorescencyjnymi. Druga część mojego zespołu pracuje nad polimerami i kompleksami do zastosowań w katalizie. Sporo się dzieje, chęci do pracy jest dużo, tylko czasu brakuje.

Ma pan czas na inne aktywności oprócz nauki?

Staram się czasami oderwać od pracy, choć moja żona twierdzi, że jestem pracoholikiem. W wolnej chwili uciekam na swoją działkę nad jeziorem – nie ma tam ani zasięgu ani internetu, więc pracować się nie da. Poza tym bardzo lubię podróżować, zwłaszcza po Azji i kosztować tamtejszych przysmaków kulinarnych.

Magister, cztery lata doktor, pięć lat habilitacja, sześć lat profesor. Co będzie za lat siedem?

Skupiam się na tym, co jest tu i teraz. Siedem lat to dla mnie wieczność i nie sięgam aż tak daleko. Mamy wiele prac do opublikowania i wciąż pracujemy w niedoczasie. Życzylbym sobie, aby zdrowie moje i moich bliskich dopisywało, z resztą dam sobie radę. Jestem otoczony naprawdę fajnym zespołem młodych, zdolnych i entuzjastycznych naukowców, którzy pomagają mi realizować moje często abstrakcyjne pomysły. Obym zawsze miał takich ludzi wokół siebie. Bardzo chciałbym, aby za siedem lat UAM był miejscem rozwoju i realizacji pomysłów najzdolniejszych młodych adeptów nauki. Głęboko wierzę, że tak właśnie będzie. Nie ma rzeczy niemożliwych – przy odpowiednim zaangażowaniu w to, co się robi, wszystko staje się realne.

Prof. dr hab. Artur R. Stefankiewicz jest chemikiem. Jego głównym kierunkiem badań jest szeroko rozumiana chemia supramolekularna. Zajmuje się syntezą i badaniem właściwości fizykochemicznych i funkcji multidynamicznych nanostruktur, takich jak nanokapsuły, polimery czy materiały adaptacyjne. Jest współautorem 60 publikacji naukowych [H-index = 21], w tym tych najbardziej prestiżowych m.in. *Science*, *Nature Chem.*, *Nature Commun.*, *Angew. Chem. Int. Ed.*, *Advance Science*, *Chemical Review* czy *Chemical Society Review*.

A portrait of Prof. Anna Musiała, a woman with dark hair and glasses, wearing a dark brown top and a gold bracelet. She is smiling and looking slightly to the side. The background is a blurred outdoor setting with greenery.

NIE MA WOLNOŚCI W POLSKIEJ NAUCE PRAWA PRACY

Prof. Anna Musiała: – Praca w katastrofalnych warunkach uderza w nasze ciało i godność.

Zainspirowana tą myślą napisałam, że człowiek pracuje de facto swoim ciałem, co zostało bardzo źle przyjęte w polskiej nauce. Z laureatką Nagrody KUL rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

FOT. ŁUKASZ WOŹNY

Prawniczka, prof. UAM dr hab. Anna Musiała otrzymała w czerwcu od Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Nagrodę im. Anieli Hrabiny Potulickiej za wybitne osiągnięcia naukowe wpisujące się w idee chrześcijańskiego humanizmu. Laureatka napisała monografię „Polskie prawo pracy a społeczna nauka Kościoła”.

Czym dla pani jest ta nagroda?

Jest dla mnie wyjątkowa, bo uważam, że polskie prawo pracy potrzebuje filozoficznego i teoretycznego przebudowania. W książce pokazuję m.in., że w interpretacjach stosujemy tylko przepisy kodeksu pracy, pomijając tekst Konstytucji. Przez to nie rozumiemy dobrze zagadnienia stosunku pracy. Przyjmujemy, że jest to cywilnoprawne zobowiązanie, pomijając zupełnie kwestię solidarności. Twierdzimy, że występują w nim strony – pracodawca i pracownik jako kontrahenci. Musimy już wtedy dojść do konkluzji, że w takim układzie pracodawca umawia się, za ile kupi umiejętności pracownika – jak da za mało, pracownik „sprzeda się” innemu. I tego, mówiąc opisowo, najczęściej uczymy studentów, bo twierdzimy, że prawem pracy właściwie rządzi zasada swobody umów. Takie rozumowanie wyklucza z rynku wszystkich słabszych, bo przecież skoro są niekonkurencyjni, muszą wypaść z gry. Tak też często się dzieje. Pomijamy słabszych i chcemy zatrudniać tylko silnych, młodych, którzy są najbardziej wydajni. Chodzi jednak o to, żebyśmy włączyli w system pracy również jednostki słabsze, żebyśmy budowali społeczeństwo bez wykluczeń.

W monografii jasno stawia pani sprawę – przez ostatnie trzy dekady doprowadziliśmy do wykołajenia prawa pracy. Jakie są konsekwencje tego zjawiska?

Na przykład to, że w głowach mamy rynek pracownika i rynek pracodawcy. Myślę, że tak naprawdę coś takiego nie istnieje, bo to sugeruje, że pracownik jest towarem, którego cena zależy od relacji popytu i podaży. Uważam, że warunki pracy to jest sprawa publiczna, a nie „prywatny” element umowy mię-

dzy dwoma stronami. Prawo pracy to po prostu res publica. „Sprywatyzowanie” stosunku pracy doprowadziło do tego, że Państwowa Inspekcja Pracy ma za małe uprawnienia i jest w powszechnym myśleniu marginalizowana. A my powinniśmy czuć w niej oparcie, mieć świadomość, że gdy przychodzi do zakładu, to oznacza, że przychodzi „państwo”.

Największym wykołajeniem prawa pracy są umowy cywilnoprawne o zatrudnienie. Ciągłe powstają kolejne prace na ten temat, nawet doktoraty. Tymczasem to jest błąd, należy mówić o nich jako o pseudonauce. Z przepisów, które już istnieją, wynika, że wykonywanie osobistej pracy przez dłuższy czas nie jest możliwe na podstawie umowy cywilnoprawnej. Punktem wyjścia w tym myśleniu jest artykuł 30 Konstytucji dotyczący godności człowieka. Niestety, orzecznictwo Sądu Najwyższego w czasie liberalnych rządów PO do tego dopuściło. Stała się rzecz katastrofalna. PiS w jakiś sposób próbował to naprawić, ustalając stawkę minimalną, ale chyba pogorszyło sytuację, legitymizując to, co jest fatalne.

W rezultacie tych wszystkich zmian straciliśmy dwie rzeczy – przestaliśmy widzieć w prawie pracy człowieka, ale też zgubiliśmy po drodze etos pracy. Francuzi mówią, że praca jest pewnego rodzaju celebracją, a zakład pracy sanktuarium. U nas to się rozjechało. Nie traktujemy pracy jako rzeczy w pewnym sensie świętej, choć daje nam nie tylko chleb, ale też poczucie przynależności do grupy, satysfakcję, poczucie sensu. Najbardziej to czujemy, kiedy ją tracimy – przeżywamy życiowe dramaty, wpadamy w depresję. Nie widząc, że pracujemy na rzecz społeczeństwa, zagubiliśmy się.

Gdy po raz pierwszy napisała pani, że nie ma trzeciej drogi w zatrudnieniu, została pani ostro skrytykowana. Chodzi mi o książkę „Zatrudnienie niepracownicze” wydaną w 2012 roku. Dlaczego tak się stało?

Ta książka była moją pierwszą habilitacją. Została gremialnie skrytykowana. Napisałam ją pod mocnym wpływem nauki francuskiej. Myślę, że przekleństwem okazał się mój wyjazd za granicę na stypendium w 2006 r., ponieważ zobaczyłam tam inny świat, poznałam inne spojrzenie na prawo pracy, które u nas

jest utylitarne. Przed habilitacją spędziłam sporo czasu u profesora Antoine'a Lyon-Caena w Paryżu, na Uniwersytecie Paris Nanterre X. Zebrałam tam pokąźny materiał do mojej książki i wyczytałam, że nie ma czegoś takiego jak zatrudnienie cywilnoprawne. Zaczęłam też czytać prace prof. Alaina Supiot, który mówił o tym, że człowiek pracuje swoim ciałem: mięśniami i umysłem. Tam zrozumiałam, że praca w katastrofalnych warunkach uderza w nasze ciało i godność. Zainspirowana tą myślą napisałam w książce, że w stosunku pracy człowiek pracuje de facto swoim ciałem, co zostało bardzo źle przyjęte w polskiej nauce. Pojawiła się m.in. recenzja w „Pracy i Zabezpieczeniu Społecznym”, w której prof. Walerian Sanetra, odnosząc się do przytaczanych przeze mnie poglądów z piśmiennictwa zagranicznego, uznał a priori, że: „można mieć wątpliwości co do tego, czy są to poglądy reprezentatywne i trafne”. Profesor Sanetra napisał też, że mój język jest „nadmiernie literacki”. To prawda, Francuzi piszą o prawie pracy bardzo opisowo, zresztą nie sposób inaczej, jeśli chcemy widzieć w nim człowieka, który jest umęczony, boi się, jest słaby. Ich książki czyta się jak powieści, w przeciwieństwie do naszych, czasami zupełnie nieczytelnych. Z początku bardzo trudno było mi zrozumieć taki sposób myślenia, ponieważ w Polsce od pracownika tylko wymagano, nikogo nie interesowało, czy ma gorszy dzień, zawsze ma być zwarty i gotowy. Nie umiesz? Wylatujesz. Natomiast Francuzi przyjęli perspektywę homo iuridicus prawa pracy, człowieka, który ma prawo się bać. Moja książka ukazała się za wcześnie, gdy szalał neoliberalizm i rozkwitały umowy cywilnoprawne – musiała być skasowana. I tak się stało. To był bardzo trudny czas w moim życiu. Zmieniłam wtedy pole badawcze na porozumienia zbiorowe, napisałam nową pracę, opisującą orzecznictwo Sądu Najwyższego, bardziej stonowaną i na jej podstawie dostałam habilitację. Potem w 2013 roku pojawiła się publikacja prof. Arkadiusza Sobczyk na temat konstytucyjnych aspektów prawa pracy. Pomyślałam sobie, że to jest ktoś, kto tak jak ja widzi, że coś jest nie tak. Profesor po raz pierwszy otwarcie powiedział, że prawo pracy to są prawa człowieka, że zakład pracy jest wspólnotą ludzi. Jestem wdzięczna za to naukowe wsparcie profesorowi.

Czy nagrodzona praca została lepiej przyjęta?

Myślę, że tak. Rektor UAM przyznał mi za nią nagrodę naukową I stopnia. Jest to dla mnie ogromna radość. Książkę dobrze przyjęły środowiska skupione wokół „Krytyki Politycznej”, czasopism „Nowy Obywatel”, „Kontakt”, które doskonale wyczuwają ten temat. Najbardziej się cieszę, gdy korzystam z książki na zajęciach i obserwuję, jak studenci na nią reagują – są w szoku, że o prawie pracy można tak mówić. Nawet słuchacze studiów podyplomowych, ludzie, którzy mają wiele lat pracy za sobą, przyznają, że wiele straciliśmy. Ci starszej daty jeszcze umieją tak zorganizować swój zakład pracy, żeby miło się do niego przychodziło i pracowało. Lubią się, mają ze sobą kontakt, wspierają się. Praca lepiej im idzie.

Jaka jest szansa, żeby zmiany szły w dobrym kierunku?

Myślę, że to bardzo trudny proces. To nie zmieni się z dnia na dzień, skoro przez 30 lat co innego tłukliśmy ludziom do głowy. Sama w trakcie studiów i po nich w to wierzyłam, choć czułam się z tym fatalnie. Być może moje pokolenie jest już stracone. Proszę wziąć pod uwagę, że jesteśmy społeczeństwem wystraszoną, bardzo nieufnym, żyjącym w dwóch światach, o czym pisał Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle”. To się zaczęło w latach 40. razem z komunizmem i trwa do dzisiaj. Żyjemy w pozornej wolności, bo cały czas się boimy. Widać to w spo-

*Moja książka ukazała się za wcześnie,
gdy szalał neoliberalizm i rozkwitały umowy
cywilnoprawne – musiała być skasowana.*

I tak się stało.

sobie, w jakim piszemy o prawie pracy – chowamy się za przepisami, w przeciwieństwie do Francuzów, którzy są otwarci. Krytykę od profesora Sanetry, którą otrzymałam w 2012 roku, uważam za najlepszy dowód na trzymanie nauki w zamknięciu. Zamiast pozostać w konwencji, zrobiłam coś innego – zaczęłam otwierać się jako autorka, poszukiwać inspiracji w socjologii, filozofii, czytać literaturę zagraniczną i wyjeżdżać na staże naukowe, czego w zasadzie w polskiej nauce prawa pracy się nie praktykuje. W rezultacie wyszłam poza schemat zasadzający się na pojęciach: stosunku pracy jako zobowiązaniu wzajemnym i ryzyku pracodawcy. Wtedy zrobił się popłoch. Dlatego nie widzę wolności w polskiej nauce prawa pracy. Za to spotkała mnie „kara”. A nad monografią pracowałam 6 lat i oparłam ją na gigantycznej literaturze obcej, którą zebrałam w wyniku wielu zagranicznych staży.

Od czego trzeba zacząć?

Myślę, że od rachunku sumienia, od zastanowienia się, w którym miejscu się znajdujemy. Nie chodzi o to, żeby potępiać w czambuł to, co było, tylko zastanowić się, w jakim kierunku chcemy iść i w tym duchu zacząć kreować przepisy prawa. Myślę, że nie tylko polska nauka prawa pracy jest w fatalnym stanie. Ostatnio rozmawiałam z profesorem Moniką Kosterą. Jej zdaniem, o czym zresztą powiedziała w wywiadzie z Grzegorzem Sroczyńskim, fatalne metody zarządzania przedsiębiorstwami, które były wtlaczane polskim studentom do głów w latach 90. i na początku tego wieku przyczyniały się do niszczenia prawa pracy. Może warto się zastanowić, jak polska nauka prawa pracy psuła świat i czy do końca to zrobiła. Niestety, mam wrażenie, że jeszcze tego rachunku sumienia nie robimy, idziemy ciągle tym samym torem myślenia. Do zmiany trzeba wstrząsnu.

Prowadzi pani razem z prof. Przemysławem Czaplińskim Centrum Humanistyki Otwartej. Czy planujecie państwo nowe inicjatywy w tym roku?

Tak, profesor Kostera przyjęła zaproszenie na debatę poświęconą bilansowi myślenia o polskim prawie pracy. Zainauguruje ona cykl debat „Społeczne czy aspołeczne prawo pracy?”. Chcemy rozmawiać o tym, czy pojęcia solidarności, równości, wspólnotowości nie powinny stać się punktami wyjścia w dyskusji o prawie pracy, bo na razie nie są. Pod koniec października organizujemy spotkanie online z prof. Supiot poświęcone porównaniu kondycji naszych nauk prawa pracy i odpowiedzi na pytanie, dlaczego z polskiego dyskursu prawa pracy zniknęło pojęcie solidarności. CHO uzyskało też grant ministerialny dotyczący problematyki prawno-społecznych protestów, w tym strajków. W szerszym gronie będziemy rozmawiali o tym, czym jest protest, kto powinien mieć do niego prawo i jak prawo do wyrażania sprzeciwu powinno być regulowane.

I ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

Z dr hab. Katarzyną Waszyńską,
kierowniczką Laboratorium Promocji
Zdrowia i Psychoterapii WSE UAM,
rozmawia Magda Ziółtek

Zastanawiam się czasem, dlaczego w filmach perypetie pary bohaterów zwykle kończą się ślubem. Przecież to, co dzieje się później, jest znacznie ciekawsze: zdrady, kłótnie, odejścia i powroty...

Bajki i filmy romantyczne kończą się ślubem, a w podtekście taką informacją „i żyli długo i szczęśliwie”. Tymczasem rzeczywistość taka nie jest, bo gdyby tak było, to ja nie miałabym części swojej pracy. Bo oprócz pracy na uniwersytecie prowadzę również terapie indywidualne i dla par. Widzę, że bardzo wiele osób boryka się z problemami w związku. I rzeczywiście – ma pani rację – część z nich myśli, że ślub będzie remedium na wszystkie problemy. Mają takie bajkowe wyobrażenie związku – jak będziemy małżeństwem, to na pewno wszystko samo się naprawi i będzie dobrze. A to, niestety, tak nie działa... Kiedy spotykają się dwie osoby z różnymi życiorysami, różnymi stylami życia, zwyczajami wyniesionymi z domów rodzinnych, to czasem trudno jest im połączyć się w jeden zgrany zespół.

I wtedy trafiają do pani. Z jakimi problemami zgłaszają się najczęściej?

Moje podstawowe wykształcenie zdobyłam w Instytucie Psychologii UAM, potem uzupełniłam je o pedagogikę i uprawnienia seksuologa klinicznego. Pomogło mi to szerzej spojrzeć na związek. Część trudności w relacji wiąże się z życiem seksualnym i odwrotnie. Bardzo lubię takie powiedzenie, że kiedy dwie osoby spotykają się w łóżku, to tak naprawdę jest ich tam aż sześcioro. Rodzice jednej strony, rodzice drugiej strony i ta para. „Łóżko” to jest miejsce bliskości i intymności, ale też przestrzeń, gdzie ścierają się różne przekonania wyniesione z domu, wyobrażenia na temat siebie, swojego ciała czy też partnera, nasze nastawienie do seksualności, do komunikacji, do okazywania uczuć. Wszystkie te historie mają znaczenie dla jakości związku, dla satysfakcji z życia seksualnego.

Czyli udane życie seksualne jest receptą na szczęśliwy związek?

To zależy dla kogo. Są pary, dla których ma to istotne znaczenie. Ale są i osoby, dla których ma to znaczenie drugorzędne. Ale rzeczywiście, nawet jeśli oprzemy się na trójczynnиковą koncepcję miłości w związku...

...czyli?

W tej koncepcji brane są pod uwagę trzy aspekty. Bliskość – intymność, rozumiana jako otwartość, umiejętność dzielenia się swoimi przeżyciami, potrzebami, ale też słabościami – to są te sprawy, o których nie rozmawiamy z innymi (obcymi) osobami.



FOT. ADRIAN WYKOTA

Zaangażowanie, czyli uczestniczenie we wspólnych aktywnościach np. tych domowych, jak sprzątanie, robienie zakupów, ale też działania, które przekształcają relację miłosną w trwałą więź. Ostatni aspekt to namiętność, czyli bliskość fizyczna. To są te trzy składowe trójczynnиковej koncepcji miłości, które powodują, że związek jawi się jako optymalny. Trzeba jednak pamiętać, że w czasie trwania relacji między dwojgiem ludzi mogą one występować w różnym nasileniu. Zarówno intymność, jak i zaangażowanie i namiętność, mogą się zmieniać w zależności od stażu związku, od tego, jak zmieniają się same pary, od potrzeb, stanu zdrowia... od szeregu czynników. I z namiętnością też tak jest. Najczęściej jest ona najbardziej satysfakcjonująca na początku związku, potem może słabnąć. Dzieje się tak na przykład wtedy, kiedy pary zapominają o tym, aby o nią dbać, wpadają w wir obowiązków, realizują się zawodowo, towarzysko. A z namiętnością jest tak, jak z ogniskiem – warto do niego dokładać. To, na ile życie erotyczne jest udane, zależy też od tego, jak nam jest ze sobą w innych sferach życia. Bo to, czy mamy ochotę otwierać się fizycznie przed partnerem, w dużej mierze zależy od tego, jak czujemy się w tej relacji, czy jest nam w niej dobrze. Czyli, innymi słowy, jak się komunikujemy, czy w ogóle umiemy ze sobą rozmawiać.

Z doświadczenia wiem, że z tą komunikacją to bywa różnie.

A ma ona fundamentalne znaczenie dla związku. Badania pokazują, że pary, które mają lepszą komunikację, rzadziej zgłaszają trudności natury seksualnej. Czyli może ona działać profilaktycznie. Co jest logiczne, bo jeżeli rozmawiamy o tym, co lubimy, czego potrzebujemy w tej sferze i jest to swobodna rozmowa, to mamy szansę, aby nasza bliskość fizyczna układała się zgodnie z naszymi pragnieniami. Jeśli tej komunikacji nie ma, to czasem działamy po omacku. Pomoc terapeutyczna polega też na tym, aby nauczyć się swobodnie rozmawiać o tej sferze życia. Niektóre osoby mają z tym trudności, problemem jest dla nich nazywanie np. części intymnych. To jest duże wyzwanie dla pedagogiki

seksualnej i psychologii, aby z szacunkiem i w oparciu o wiedzę budować pozytywne nastawienie, świadomość i odpowiedzialność w obszarze miłości, związków, seksualności. Jest to ważne szczególnie w obecnych czasach, gdy w przestrzeni społecznej słyszymy różne sprzeczne informacje na temat edukacji i wychowania seksualnego. Dlatego wciąż pokutuje przekonanie, mocno zakorzenione w naszym społeczeństwie, że seksualność to sfera, o której nie powinno się mówić, bo każdy powinien wiedzieć, jak to ma wyglądać. Ale, niestety, tak nie jest. Każdy z nas jest inny i wnosi inne doświadczenia do związku. I to też nie jest tak, że o naszej satysfakcji decydują umiejętności techniczne. To nie jest sport, gdzie można poprawiać technikę. Na satysfakcję wpływa nasza świadomość siebie, swoich emocji, umiejętność spotkania się z drugim człowiekiem.

Po obejrzeniu filmu o Michalinie Wisłockiej – muszę o to zapytać – jak Polacy rozmawiają o seksie?

To się bardzo zmieniło. Pracować jako terapeuta zaczęłam pod koniec lat 90. i wtedy rzeczywiście seksualność, czy problemy z nią związane były tematem tabu. Samo przyjsie do seksuologa wiązało się ze wstydem. Dzisiaj jest trochę inaczej i jest to zasługa mediów, wydawnictw, projektów upowszechniających wiedzę naukową. Wiedza seksuologiczna, psychologiczna czy pedagogiczna nie trafia już tylko do specjalistów. To sprawia, że ludzie znacznie szybciej zgłaszają się ze swoimi problemami. Dwadzieścia lat temu pary przychodziły do gabinetu jak się „waliło i paliło”. Dzisiaj częściej zgłaszają się, gdy pojawiają się pierwsze symptomy. Widzimy też pewną zmianę. Wcześniej do gabinetu przychodziły pary, w których to kobiety odmawiały współżycia, zgłaszały mniejsze potrzeby. Od kilku lat obserwuję się, że to kobiety częściej mówią o swoich potrzebach w sypialni. To czasem powoduje zaniepokojenie wśród mężczyzn, utratę pewności siebie. Zmiany społeczne wpływają na zmiany w sypialni.

Wróćmy do komunikacji, a raczej jej braku. Co jest najczęściej powodem kłótni w związku?

Najczęstszymi powodami kłótni są pieniądze, podział obowiązków domowych, rodzina i seks. Często pary przychodzą po około pół roku od urodzenia pierwszego dziecka. Pomimo, że bardzo chcieli mieć dzieci, to w momencie, kiedy one już są, pojawiają się nowe wyzwania, a tym samym też kłótnie i nieporozumienia. Dlatego tak ważne jest, aby jeszcze przed pojawieniem się dzieci wiele spraw uzgodnić, dokonać podziału obowiązków. Oczywiście wszystkiego nie da się przewidzieć.

I znów wracamy do komunikacji. Jakie błędy popełniamy najczęściej?

Podam przykład. Niech to będzie bałagan. Jedna ze stron uznaje, że jest bałagan, a druga, że jeszcze go nie ma. Czasem zamiast skupienia się na tym, czego konflikt dotyczy, osoby zaczynają wyciągać różne rzeczy z przeszłości. Następuje „a bo ty wtedy...” – i tak na zmianę. Czasem dochodzi do tego „bo ty jak twoja mama/tata”. To dodatkowo znacząco eskalację konfliktu, czego przejawem może być trzaśnięcie drzwiami, epitety itd. Zamiast rozwiązywać problem toczy się gra: wygrana/przegrana. Po takich sytuacjach gromadzi się żal, złość do tej drugiej osoby. Dlatego dobrze jest na bieżąco okazywać swoje emocje i być ich świadomym, rozmawiać o nich.

W jednym z wywiadów powiedziała pani, że kryzys w związku jest czymś naturalnym. Trzeba tylko nauczyć się go przeżywać.

Kiedyś istniało takie przeświadczenie, że kryzys to jest coś złego. Tymczasem dzisiaj uważa się, że kryzys może nam pokazać, że to, co dotychczas robiliśmy, już nie działa. Niestety, często bywa tak, że kryzys nie występuje równocześnie u obu stron. Czasem też nie jesteśmy świadomi na ile nasze osobiste kryzysy związane z pracą, karierą wpływają na kryzys w związku. Dlatego tak ważna jest świadomość siebie i swoich potrzeb. Pamiętajmy, że kryzys coś nam pokazuje.

Nie wszyscy jednak chcą pamiętać. Czasem dominuje takie przeświadczenie, że jak coś się popsuło, to trzeba to wyrzucić.

Rzeczywiście obserwuje się współcześnie szybszy rozpad związków, już na etapie pierwszego kryzysu. Bardzo często młode osoby, nawet z rocznym stażem małżeńskim, decydują się na rozwód, bo nie poradziły sobie z pierwszym kryzysem. Ważne jednak, aby przed wejściem w kolejny związek przeanalizować, skąd brały się te sytuacje. Co było winą po mojej stronie? Warto to przemyśleć, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Mówiliśmy o młodych parach, a jakie problemy zgłaszają pary z dłuższym stażem?

Często pary zgłaszają, że nie umieją ze sobą rozmawiać. Bywa tak, że ludzie słyszą nie to, co do nich mówi partner/ka, ale swoje myśli. W swojej głowie interpretują wypowiedź. Inna kwestia jest taka, że pewne sprawy, gdy byliśmy młodzi, nam nie przeszkadzały. Przy dłuższym stażu mogą irytować. Na początku akceptowaliśmy to, że partner mniej mówi, a nawet wydawał nam się przez to bardziej tajemniczy, z czasem jednak może nas to frustrować. Są pary, które kiedyś ze sobą rozmawiały, ale w wyniku różnych nierozwiązanych konfliktów zatraciły tę zdolność. Czasem przychodzą pary, ponieważ jedna ze stron nie umie się oddzielić od swojej rodziny. To jest taka sytuacja, w której jeden z partnerów ma bliższą więź z matką i ojcem niż z partnerem. Dom rodzinny jest ważnym miejscem, ale ważna jest też umiejętność oddzielenia się od niego.

Na co dzień dzieli pani pracę pomiędzy uczelnią o praktyką terapeutyczną. Czy te dwie sfery się uzupełniają?

Dziękuję... łączę. Praca terapeuty daje mi możliwość zdobycia doświadczenia, którym dzielę się ze studentami. Dzięki pracy na uczelni mogę poszerzać swoją wiedzę teoretyczną oraz analizować i weryfikować zjawiska, z którymi się empirycznie spotykam. Dla mnie to uzupełnienie. W gabinecie pracuję między innymi z osobami, które doświadczyły przemocy seksualnej, a na uczelni mogę angażować się w działania profilaktyczne w tym obszarze. Ostatnio pod kierunkiem prof. Jacka Pyżalskiego realizowaliśmy projekt Lights4Violence, gdzie przy współpracy z poznańskimi liceami zajmowaliśmy się problematyką przeciwdziałania przemocy na randkach. To znów piękne połączenie teorii z praktyką i badaniami empirycznymi.

W ramach prowadzonej przeze mnie socjoterapii i promocji zdrowia, zajmujemy się zarówno wspieraniem rozwoju, jak i pomocą w sytuacjach trudnych, kryzysowych. Stanowi to też połączenie wiedzy pedagogicznej i psychologicznej. We współpracy z moimi koleżankami i kolegami zainicjowaliśmy również na WSE UAM działalność międzynarodowej grupy badawczej „Związki międzykulturowe. Społeczeństwo – edukacja – rynek pracy”, której celem jest zarówno teoretyczna, jak i empiryczna eksploracja wymienionych w tytule obszarów odnoszących się do związków międzykulturowych. Tych działań jest dużo więcej. Zapraszam do współpracy i na WSE UAM.

W SIECI PRZYJACIOŁ

W dzisiejszym świecie niełatwo odnaleźć się młodym ludziom wkraczającym w dorosłość. Zdarza się, że czują się samotni, niezrozumiani czy napiętnowani chorobą. Naprzeciw ich potrzebom wyszła Sieć Przyjaciół Zdrowia Psychicznego, oddolna inicjatywa pomocowa. Jej celem jest wspieranie studentów i innych młodych ludzi przez rówieśników.

Pomoc udzielana przez Sieć Przyjaciół Zdrowia Psychicznego nie jest formą terapii, a przeszkoleni opiekunowie nie są terapeutami. Pomagają potrzebującym w podstawowych sprawach np. w zaprowadzeniu na wizytę do psychologa, utrzymują z nimi stały kontakt i wspierają w problemach życia codziennego, w załatwianiu uniwersyteckich formalności. Świadomość, że obok nas jest ktoś, na kogo możemy liczyć, ratuje w trudnych chwilach.

Sieć Przyjaciół Zdrowia Psychicznego jest prowadzona przez fundację pod taką samą nazwą. Założyła ją Marcelina Rosińska, absolwentka prawa na UAM i aktualnie studentka administracji. Na pomysł rozwijania równieśniczego wsparcia psychologicznego wpadła razem z Krystal McLeod (USA) i Marą Franke (Niemcy) podczas Akademii Praw Człowieka organizowanej przez Humanity in Action, organizacji działającej na rzecz walki o prawa człowieka oraz wspierającej młodych ludzi w realizacji projektów społecznych.

Pół roku później Marcelina Rosińska wprowadziła projekt w życie w Poznaniu, Krakowie, Wrocławiu i Warszawie, a także w mniejszych miejscowościach. – Wstrząsnęło mną, kiedy usłyszałam, że zgodnie z danymi zebranymi przez policję, w Polsce więcej osób traci życie z powodu samobójstwa niż w wyniku wypadku drogowego – mówi prezeska fundacji. – Cały czas słyszymy o poszukiwaniach leku na raka, działaniach mających na celu zmniejszenie liczby osób, które giną w wypadkach, a bardzo mało uwagi poświęca się ochronie zdrowia psychicznego.

Młoda prawniczka знаła wiele osób, które skarżyły się na brak wsparcia i często bały się wyciągnąć rękę po pomoc w obawie przed odrzuceniem. – Często słyszały takie słowa, jak: „Nie masz depresji, po prostu jesteś leniwy”, które prowadziły jedynie do pogorszenia stanu psychicznego. Chciałam nauczyć innych, jak prowadzić rozmowę, aby nie ranić adresata, okazać mu odpowiednie wsparcie – podkreśla. – Dodatkowo zależało mi na tym, aby każda osoba zmagająca się z psychicznymi problemami otrzymała niezbędne wsparcie.

W Sieć Przyjaciół Zdrowia Psychicznego angażują się głównie młodzi ludzie – studenci z 24 polskich uczelni (sieć ma swoich opiekunów w każdym wojewódzkim mieście). Szczególną rolę w tym gronie pełni UAM, gdzie organizacja zaczęła działalność i skąd pochodzi większość studentów-opiekunów oraz angażujących się w prace organizacyjne. – Wielu z nich zgłosiło się do pomocy przy projekcie, ponieważ mają w swoim otoczeniu bliskie osoby, które zmagają się np. z depresją, buli-



mią, chorobą dwubiegunową. Kandydaci na wolontariuszy mają świadomość, jaka jest skala stygmatyzacji tych osób i jak często nie otrzymują one właściwej pomocy – wyjaśnia Marcelina Rosińska. Jedną z wolontariuszek jest Dominika: – Wierzę w to, że zmiana sama się nie robi. Mam świadomość, że nawet najmniejsze działania mogą mieć duży wpływ na życie innych. Każdy z nas prędzej czy później też będzie potrzebował pomocy.

Z pomocy sieci skorzystała Katarzyna, która cierpiała w pracy – szef kazał jej pracować czasem po 14 godzin dziennie. – Dzięki opiekunkce udało mi się przejść przez ten bardzo trudny okres w moim życiu i odzyskać równowagę, której bardzo mi brakowało. – wspomina. – Nie wiem, jak szybko nauczyłabym się rozgraniczać pracę od życia osobistego, gdyby nie ona.

Obecnie w Sieci Przyjaciół Zdrowia Psychicznego działa 200 opiekunek i opiekunów, ale z każdym tygodniem ta liczba rośnie. Fundacja dba, żeby byli oni jak najlepiej przygotowani do pomocy podopiecznym. Dlatego uczestniczą w prowadzonych przez wielu specjalistów szkoleniach, dotyczących m.in.: podstaw pomagania, podstaw interwencji kryzysowej, wspierania osób doświadczających przemocy i osób z niepełnosprawnością, pracy z osobami LGBTQ+. Przyszli opiekunowie wzięli również udział w rozmowie z osobą z chorobą dwubiegunową, a także w cyklu wykładów prowadzonych przez naukowców z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki, organizowanych we współpracy z wydziałową radą Samorządu Studentów.

Fundacja uczestniczyła również w tegorocznym Połand'Rock Festival. Razem ze Stowarzyszeniem Sędziów Polskich IUSTITIA zorganizowała warsztaty „Take a step – wczuj się” z udziałem m.in. mistrzów paraolimpijskich, sportowców z niepełnosprawnością i prawników.

Warto dodać, że projekt kilka razy zwyciężył w konkursie na inicjatywy studenckie Kowadło 2.0. – Zawsze możemy liczyć na wsparcie ze strony Samorządu Studentów UAM, który z pewnością przyczynił się do tego, że projekt tak się rozwinął. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni – zaznacza prezeska fundacji.

Jak nawiązać kontakt z Siecią? Wystarczy zajrzeć na facebookową stronę organizacji. – Nie bójcie się. Tu pomoc jest realna, a każdy człowiek ważny. Jeśli nie masz nikogo, komu możesz opowiedzieć o swoich problemach, wolontariusze ci pomogą. Jeśli się wstydzisz, możesz pozostać anonimowy. I możesz być pewien, że wszystko, o czym mówisz wolontariuszowi, zostanie między wami – zachęcają opiekunowie.

Ewa Konarzewska-Michalak



Diamenty rozdane

Opublikowano wyniki IX edycji Diamentowych Grantów. Tym razem ministerstwo przeznaczyło dla laureatów 14 milionów złotych. Sporą część z tej sumy otrzymali laureaci z UAM. W tym roku jest ich siedmioro. Każdy z nich będzie otrzymywał po 2,5 tysiąca złotych przez okres sięgający nawet 4 lat.

Diamentowy Grant jest jednym z najbardziej prestiżowych programów dla młodych badaczy. Uczestniczący w nim studenci nie tylko otrzymują pieniądze na realizację własnych badań, dostają również szansę na przyspieszenie swojej kariery naukowej.



Przeciw nowotworom

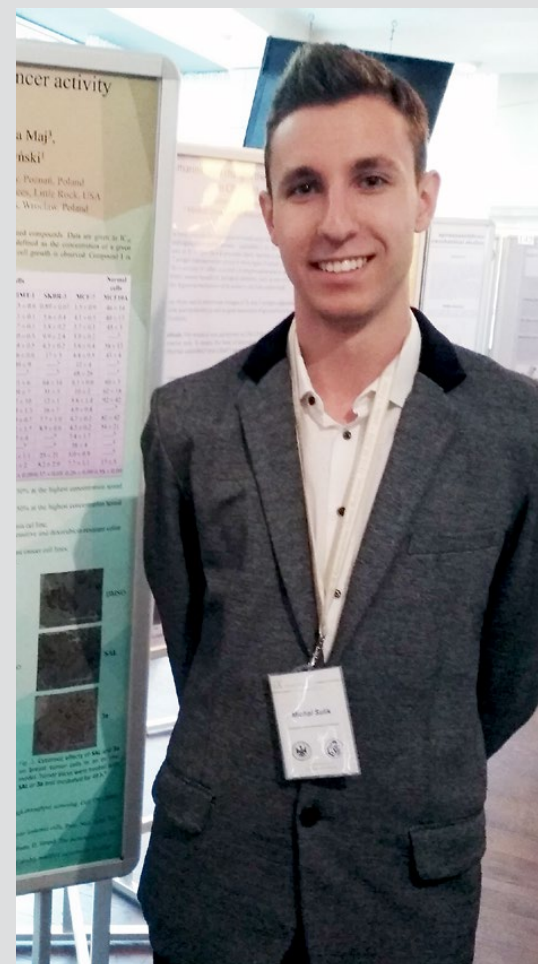
Michał Sulik z Wydziału Chemii jest laureatem Diamentowego Grantu za projekt pt. „Synteza oraz badania właściwości przeciwnowotworowych i przeciwpasożytniczych nowych pochodnych iwermektyny”.

Iwermektyna to związek chemiczny umożliwiający leczenie chorób, które wcześniej niosły pewną śmierć lub kalectwo np. ślepoty rzecznej czy słoniowacizny. W 2015 roku za odkrycie oraz badania nad iwermektyną przyznana została Nagroda Nobla w dziedzinie fizjologii/medycyny. Lek ten dzięki swojej skuteczności, wszechstronności oraz bezpieczeństwu stosowania tak znacząco wpłynął na świat medycyny, że wielu naukowców określa go mianem „cudownego leku”. Przyporównuje się go chociażby do aspiryny czy penicyliny. Ostatnie badania wykazały nawet, że iwermektyna jest inhibitorem wirusa wywołującego COVID-19.

– To, co mnie zainteresowało w iwermektynie to pojawiające się w ostatnich latach informacje o aktywności przeciwnowotworowej tego związku, w tym wobec lekoopornych oraz macierzystych komórek nowotworowych – mówi Michał Sulik. – W związku z tym, niezwykle ciekawym wyzwaniem dla chemika jest modyfikacja chemiczna iwermektyny, która może doprowadzić do otrzymania związków o wyższej aktywności biologicznej i mniejszej toksyczności w porównaniu ze związkiem wyjściowym.

Badania młodego naukowca w tym międzydiscyplinarnym projekcie zmierzają do celu, jakim jest przeprowadzenie kompleksowych, selektywnych modyfikacji chemicznych iwermektyny i określenie wpływu tych modyfikacji na strukturę, właściwości, aktywność przeciwnowotworową oraz przeciwpasożytniczą otrzymanych związków. – Moim celem jest synteza nowych pochodnych iwermektyny. Jest to zadanie trudne, ze względu na obecność wielu różnorodnych grup funkcyjnych w strukturze tego związku – uważa badacz. – Chemikom bardzo często zależy na modyfikacji tylko jednej z tych grup tak, aby pozostałe nie uległy przekształceniu. Zastosowane metody muszą być więc w pełni selektywne, a otrzymane przeze mnie pochodne muszą wykazywać bardzo wysoki stopień czystości. Izolacja oraz oczyszczanie tego typu struktur są bardzo trudne i wymagają od chemika sporej intuicji i doświadczenia w pracy ze związkami pochodzenia naturalnego.

W konkursie oceniano dwa aspekty: dorobek naukowy oraz projekt naukowy. Poznański naukowiec podkreśla, że swój sukces zawdzięcza również opiekunom – prof. Adamowi Huczyńskiemu oraz dr. Mi-



chałowi Antoszczakowi z Zakładu Chemii Medycznej Wydziału Chemii UAM, którzy od początku dbają o jego rozwój naukowy. Diamentowy Grant to nie pierwsze wyróżnienie naukowca w tym roku. Wcześniej Michał Sulik otrzymał stypendium ministra nauki i szkolnictwa wyższego.

Krzysztof Smura



Chemia, sport i muzyka



FOT. ADRIAN WYKROTA

O **Radosławie Banaszu** można powiedzieć, że jest człowiekiem renesansu. Dobrze zapowiadający się naukowiec, utalentowany sportowiec, a w wolnych chwilach pianista z ukończoną szkołą muzyczną I stopnia.

Radosław Banasz Diamentowy Grant otrzymał na realizację projektu „Synteza i charakterystyka wiologenów jako materiałów funkcjonalnych do zastosowań w urządzeniach elektrochromowych”. Na co dzień jest studentem I roku (studiów II stopnia) na specjalności chemia materiałowa, na Wydziale Chemii.

Jak wspomina, już na I roku studiów licencjackich został zaproszony do grupy badawczej prof. Moniki Wałęsy-Chorab. To było dla niego duże wyróżnienie, ale też spore wyzwanie. Swoje pierwsze doświadczenia w pracy badawczej gromadził przy realizacji projektu „Metalopolimeryczne filmy kompleksów metali przejściowych jako aktywne warstwy do zastosowań elektrochromowych” w ramach programu Sonata NCN. Efektem tych badań było współautorstwo w trzech pracach naukowych opublikowanych w prestiżowych czasopiśmie z tzw. listy filadelfijskiej: *Coordination Chemistry Reviews*, *Electrochimica Acta* i *RSC Advances*, a także udział w konferencjach międzynarodowych w Paryżu, Wilnie, Smolenicach i Poznaniu.

Na II roku studiów licencjackich Radosław Banasz prowadził także badania w ramach projektu OPUS pt. „Nowe katalizatory hydrometalacji alkenów i alkinów” w grupie naukowej prof. Potra Pawlucia. Do listy naukowych sukcesów Radosława Banasza należy dopisać jeszcze stypendium ministra nauki i szkolnictwa wyższego za wybitne osiągnięcia naukowe,

które otrzymał w ubiegłym roku.

Diamentowy Grant obejmie badania w zakresie materiałów elektrochromowych. To jeden z tych tematów, które ostatnio cieszą się dużym zainteresowaniem w świecie naukowym. Badacze dostrzegają w nich duży potencjał ze względu na możliwe zastosowania w elektronice. Swoje badania Radosław Banasz będzie realizował w Zakładzie Syntezy Nanostruktur Funkcjonalnych pod kierunkiem prof. Moniki Wałęsy-Chorab.

– Projekt obejmuje otrzymanie serii wiologenów zawierających różne grupy jako jednostki mostkujące pierścienie pirydynowe oraz zbadanie ich właściwości elektrochromowych. Synteza zaprojektowanych związków pozwoli na stworzenie biblioteki materiałów elektrochromowych, wykazujących szeroką gamę kolorów i wykorzystanie ich do konstrukcji prototypowych urządzeń wykorzystujących zjawisko elektrochromizmu – tłumaczy.

Poza zainteresowaniami naukowymi Radosław Banasz jest też zapalonym sportowcem. Swoje pasje rozwija w sekcji tenisowej UAM. Uczestniczy w turniejach, reprezentując UAM w rozgrywkach m.in. w Akademickich Mistrzostwach Polski w tenisie ziemnym. Dodatkowo uprawia lacrosse i trenował hokej na lodzie. Zanim zainteresował się chemią, uczęszczał do szkoły muzycznej I stopnia. Dziś w wolnych chwilach gra na pianinie.

Magdalena Ziółek



Niesporczaki i teorie spiskowe

Tomasz Bartylak jest studentem IV roku biotechnologii w języku angielskim na Wydziale Biologii. Zajmuje się niesporczakami. Na początku, jak sam mówi, był studentem asystującym, jednak z czasem odnalazł własną ścieżkę, która doprowadziła go do Diamentowego Grantu.

Z Tomaszem Bartylakiem rozmawia Jagoda Haloszka

Niesporczaki to ostatnimi czasy bardzo popularny temat wśród biologów. Na czym polegają pana badania?

Zajmuję się badaniem zdolności niesporczaków do wytrzymywania wpływu cyjanku, który jest, jak wiadomo, bardzo silną trucizną. Cyjanek paraliżuje oddychanie komórkowe i tym samym uniemożliwia wyzwalanie energii w komórce, co prowadzi do jej śmierci. Wybór tematu moich badań był decyzją pragmatyczną. Temat spodobał mi się dlatego, że nie wymagał on zbyt skomplikowanej aparatury czy podatnych na błędy procedur laboratoryjnych. Badania są przy tym dość rozproszone, czyli nie ma jednego celu, do którego należy dążyć, ale za to jest szereg pytań, na które można szukać odpowiedzi.

Jakie to są pytania?

Na przykład, jak wielokrotne podtruwanie niesporczaków wpływa na ich zdolność przeżycia. Jest to również porównywanie reakcji różnych gatunków, dobranych między innymi ze względu na środowiska, w których żyją. Planowane są również badania długości czasu, w którym niesporczaki są w stanie przetrwać pod działaniem cyjanku.

Jak cyjanek wpływa na te niesporczaki?

Cyjanek jest inhibitorem kompleksu IV, wchodzącego w skład łańcucha oddechowego.



FOT. ADRIAN WYKROTA

wego, odpowiedzialnego za powstawanie chemicznej energii w komórkach. Cyjanek blokuje ten łańcuch i tym samym uniemożliwia syntezę adenozy-5'-trifosforanu(ATP), będącego nośnikiem energii. Z tego powodu podanie cyjanku zabija większość organizmów, ponieważ tracą dopływ energii, przez co ich komórki nie są w stanie funkcjonować. Niektóre organizmy, głównie rośliny, ale również zwierzęta, a także organizmy jednokomórkowe mają dodatkowy enzym – oksydazę alternatywną (AOX), która w przypadku zatrzymania normalnego przebiegu tej reakcji jest w stanie po prostu obejść zablokowany kompleks. Niesporczaki najprawdopodobniej posiadają ten enzym, aczkolwiek nie do końca wiadomo, jak wpływa na nie cyjanek. Dlatego chciałbym sprawdzić, dlaczego coś, co inne organizmy zabija, im nie robi żadnej szkody.

Dlaczego ważne jest poznanie mechanizmu tej odporności?

Daje nam to wgląd w biologię niesporczaków oraz mechanizmy ich przetrwania w bardzo ciężkich warunkach. Jest to też ciekawe z punktu widzenia człowieka, bo choć cyjanek jest trudno dostępny, to nadal zdarzają się zatrucia. Dzięki badaniom możemy dowiedzieć się, jak można by chronić ludzi przed jego działaniem.



FOT. ADRIAN WYKROTA



Chemia wysokich ciśnień

Paulina Ratajczyk z V roku chemii materiałowej na Wydziale Chemii UAM swój „diamentowy” projekt „W poszukiwaniu wydajniejszych organicznych materiałów fotowoltaicznych – od modyfikacji chemicznych po wpływ warunków ekstremalnych” będzie realizowała pod kierunkiem prof. Andrzeja Katrusiaka.

Do Zakładu Chemii Materiałów, w którym kierownikiem jest prof. Katrusiak, trafiła na I roku studiów licencjackich i bardzo cieszy się z tej decyzji. Od ponad czterech lat ma okazję poznawać metodykę wysokociśnieniowych badań dyfrakcyjnych oraz techniki prowadzenia reakcji w warunkach wysokiego ciśnienia, które są dla niej niezwykle fascynujące. – Im częściej zagłębiam się w tę dziedzinę, tym bardziej staje się ona dla mnie ciekawa i coraz więcej wolnego czasu zaczynam poświęcać na pracę w laboratorium – mówi.

Paulina Ratajczyk zaangażowana jest w kilka projektów badawczych realizowanych w zakładzie. Za sobą ma też pierwsze wystąpienia konferencyjne i publikacje, których jest współautorką. Jak mówi, wszystko to zaczęło jej dawać ogromną satysfakcję i radość, dlatego postanowiła kontynuować przygodę i spróbowała swoich sił w konkursie Diamentowy Grant.

– W ramach projektu zamierzam zbadać wpływ modyfikacji chemicznych na właściwości optoelektroniczne diimidów perylenowych, który następnie zostanie

rozszerzony o charakterystykę zjawisk indukowanych warunkami ekstremalnymi, w tym wysokim ciśnieniem oraz niską i wysoką temperaturą. Działanie ogniw fotowoltaicznych związane jest z silną anizotropią naprężeń cienkich warstw nanoszonych na płytach podkładowych czy elektrodach. Ich eksploatacja odbywa się przy znacznych zmianach temperatur, które mogą potęgować te naprężenia. Zmiany towarzyszące naprężeniom mogą nie tylko całkowicie zmienić strukturę i właściwości optoelektroniczne badanych materiałów, wpływając na ich wydajność. Wyniki badań mogą również okazać się cenną wskazówką przy projektowaniu materiałów następnych generacji. Z tego względu poznanie podstawowych parametrów ściśliwości i rozszerzalności termicznej tych związków jest tak niezwykle istotne – tłumaczy.

Mimo, że coraz więcej czasu Paulina Ratajczyk przeznaczna na pracę naukową, ma też – nieliczne – chwile wytchnienia. Wyciąga wtedy z szafy planszówki, czyta książki albo gra w tenisa.

Magdalena Ziółek



Chaos reklamowy górą

Czy uchwała i opłata reklamowa są – lub mogą być – skutecznymi narzędziami kształtowania ładu przestrzennego, zgodnego z oczekiwaniami społecznymi? Na to pytanie szuka odpowiedzi

Paweł Grobelny, laureat Diamentowego Grantu.

Paweł Grobelny bada, dlaczego samorządy w Polsce rzadko podejmują walkę z chaosem reklamowym w przestrzeni publicznej. W ciągu pięciu lat, odkąd wprowadzono ustawę krajobrazową, z instrumentów, jakie ona oferuje, korzysta zaledwie co pięćdziesiąta gmina. Student prawa w ramach Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych i Społecznych UAM postanowił sprawdzić, skąd wynika ta opieszałość.

– Będzie to możliwe dzięki przeprowadzeniu wywiadów i konsultacji z władzami gmin, które wprowadziły już nowe przepisy oraz z tymi, które są w trakcie tego procesu. Planuję również przeprowadzić badania ankietowe wśród mieszkańców – czy odczuwają potrzebę zaprowadzenia ładu w przestrzeni reklamowej, jakie są ich oczekiwania w tym zakresie. W przypadku gmin, gdzie nowe przepisy weszły już w życie kilka lat temu, zapytam mieszkańców, jak oceniają nowy ład przestrzenny w reklamach i czy są to zmiany pożyteczne, czy może za mało radykalne – mówi autor projektu.

Projekt zakłada dokonanie pogłębionej analizy, uwzględniającej aspekt prawny, finansowy, urbanistyczny oraz społeczny

problemu. Rezultaty badań będą opierać się zarówno na informacjach uzyskanych bezpośrednio od samorządów, jak i na analizie naukowej.

Rezultatem projektu będzie m.in. być wydanie pierwszego kompleksowego opracowania naukowego, dotyczącego procesów wprowadzania uchwał i opłat reklamowych w polskich gminach. W publikacji znajdzie się m.in. analiza problemów praktycznych i propozycje mające na celu lepsze wykorzystanie obecnych przepisów.

Paweł Grobelny jest bardzo aktywnym człowiekiem – udziela się w samorządzie studenckim, przewodniczy Kongresowi Kół Naukowych UAM, był członkiem Senatu UAM. Warto dodać, że łączy studiowanie z uprawianiem triathlonu, w którym odnosi sukcesy. Dwukrotnie został np. medalistą mistrzostw Polski na dystansie olimpijskim (15 km pływania, 40 km roweru i 10 km biegu) w kategorii wiekowej do lat 24. – W ostatnich w latach trenuję już czysto amatorsko. To pozwoliło mi w pełni skupić się na studiach oraz rozwoju naukowym, co zaowocowało uzyskaniem stypendium MNiSW oraz Diamentowego Grantu – dodaje.

Ewa Konarzewska-Michalak



Milczenie ujawni nieodkryte sensy

Iga Skrzypczak analizuje zjawisko milczenia, pojawiające się w poezji twórców awangardowych dwudziestolecia międzywojennego.

To temat w niewystarczającym stopniu zbadany przez językoznawców. Projekt studentki może wypełnić tę lukę.

Wtwórczości awangardzystów dochodzi do istotnego przełomu w sposobie wykorzystania tej kategorii semiotyczno-strukturalnej, która pozostaje immanentnym elementem dzieła, ujawniającym się na różne sposoby w indywidualnych idiomach poetyckich – wyjaśnia Iga Skrzypczak.

Lauretką Diamentowego Grantu uprządkuje refleksję teoretyczno-literacką nad milczeniem, rozproszoną w licznych publikacjach, a także zaproponuje nowe, funkcjonalne narzędzia badawcze m.in. własną terminologię w zakresie wersologii. Sprawdzi wypracowane narzędzia w konfrontacji z literacką praktyką. W rezultacie dokona szeregu pogłębionych interpretacji oraz nowych odczytań wierszy awangardowych, ujawniających nieodkryte dotąd sensy.

Grant otworzył przed laureatką obiecujące perspektywy. – Korzystając z możliwości skrócenia ścieżki kształcenia, którą daje Diamentowy Grant, złożyłam aplikację do Szkoły Doktorskiej. W ciągu najbliższych czterech lat pracy chciałabym więc uzyskać stopień doktora i zapracować na możliwość kontynuowania kariery naukowej na uczelni – mówi.

Otrzymane dofinansowanie umożliwi przeprowadzenie m.in. krajowych i zagra-



Z miłości do Chorwacji

Diamentem z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej w 2020 roku została **Martyna Bąk**. Jak sama mówi, to dla niej duże wyróżnienie i dobry prognostyk na naukowej ścieżce. Stypendium stwarza jej możliwość indywidualnego rozwoju i zapewnia pieniądze na własne badania. Teraz już spokojniej może łączyć swoje kompetencje prawnicze (laureatka skończyła WPiA) i filologiczne.



nicznych kwerend bibliotecznych, wyjazdy na ogólnopolskie i międzynarodowe konferencje, wydanie monografii podsumowującej badania.

Iga Skrzypczak studiuje filologię polską w ramach Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych i Społecznych (MISHiS). Interesuje się poezją XX i XXI w. oraz teorią literatury. Na I roku studiów dzięki programowi Best Student Grant zrealizowała własny projekt badawczy, poświęcony poezji lingwistycznej pisanej przez kobiety, natomiast w trakcie studiów licencjackich jako wykonawczynie wzięła udział w grantie NPRH *Julian Przybóś – edycja tekstów rozproszonych i niepublikowanych*. W tym roku otrzymała Stypendium im. dr. Jana Kulczyka będące nagrodą za całokształt osiągnięć.

Poza literaturą interesuje się filmem, sztuką oraz przekładem. – W zeszłe wakacje miałam okazję uczestniczyć w szkole letniej organizowanej przez uniwersytet partnerski w Szanghaju (Shanghai International Studies University), co sprawiło, że zainteresowałam się również kulturą Chin oraz podjęłam naukę języka chińskiego – podsumowuje studentka.

Ewa Konarzewska-Michalak

Martyna Bąk nie tylko nauką żyje. Jest przewodniczącą poznańskiego przedstawicielstwa Forum Młodych Dyplomatów. Nadal stara się być aktywna zarówno na Wydziale Prawa i Administracji jak i na WFPiK. Obecnie jest jej bliższy ten drugi, na którym aplikuje na studia doktoranckie.

Młoda badaczka została wyróżniona Diamentowym Grantem za projekt pt. „Prawo, społeczeństwo, kultura w świetle dawnych chorwackich aktów prawnych”. Chorwacja jest jej bliska od dawna. Zawsze chciała poznać język chorwacki, by lepiej zrozumieć ludzi, którzy tam żyją. Swoje zainteresowanie tematyką zawdzięcza prof. Izabeli Lis-Wielgosz, promotorce jej pracy magisterskiej. To ona zwróciła jej uwagę na chorwacki „Winodolski Statut”. Od tego zaczęła się jej przygoda z dawnymi chorwackimi aktami prawa zwyczajowego. Interesuje się nimi, bo – jak sama mówi – chorwackie zabytki głągolicie odegrały bardzo ważną rolę w kształtowaniu się sztuki oraz kultury. – Można z nich wyczytać mnóstwo interesujących rzeczy. Akty prawne stanowiące podstawę do przeprowadzenia badania są źródłami prawa zwyczajowego. Regulatorem pierw-

szych stosunków prawnych był zwyczaj oparty na relacjach międzyludzkich, co sprawia, że można też odtworzyć, jak wyglądało ówczesne społeczeństwo – mówi Martyna Bąk. – Poznać ówczesne ośrodki literackie, ośrodki kultury i sztuki. Źródłem, które będę badać, są wprowadzone akty prawne, ale są one zakorzenione w innych dziedzinach nauki, takich jak literaturoznawstwo, geografia kulturowa, antropologia kultury czy socjologia kultury.

Celem pracy Martyny Bąk jest stworzenie mapy kulturowo-społecznej ośrodków literackich, ale i prawnych. Laureatka grantu chce opisać społeczności, żyjące w dawnych czasach na badanym przez nią terenie, ale ze szczególnym uwzględnieniem statusu kobiet w kontekście płci biologicznej i kulturowej, skupiając się na trzech komponentach – prawo, społeczeństwo, kultura. W pracy zostanie poruszone zagadnienie wpływu prawa zwyczajowego oraz samego zwyczaju na kształtowanie się tzw. habitusu (w ujęciu Pierre’a Bourdieu) oraz jego zakorzenienia w świadomości i rzeczywistości prawnej oraz społeczno-kulturowej. – Moja miłość do Chorwacji i jej literatury wciąż jest tym, co mnie napędza – mówi.

Krzysztof Smura



MAM DUŻY DŁUG WDZIĘCZNOŚCI WOBEC UNIWERSYTETU

O **prof. Hannie Suchockiej**, kiedy obejmowała rządy jako premier RP mówiono: poznanianka, da sobie radę, na pewno jest obowiązkowa i uczciwa. Mimo to wielu zastanawiało się, czy faktycznie podoła zadaniu w tej niezwykle pogmatwanej polskiej rzeczywistości.

Choć urząd objęła tylko na kilka miesięcy i tak do historii przeszła
jako pierwsza w Polsce kobieta premier.

Z prof. Hanną Suchocką rozmawia Jagoda Haloszka

Została pani laureatką Nagrody Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Jest ona przyznawana osobom, które uosabiają myślenie o państwie jako dobru wspólnym. A czym jest dla pani ta nagroda?

Jest dla mnie niezwykle ważna, choć zdaję sobie sprawę, że to może brzmieć banalnie. Jest ona w jakimś sensie potwierdzeniem drogi, którą przeszłam. Dla mnie jest niezwykle ważne to, że jest ona przyznawana w rocznicę pierwszych częściowo wolnych wyborów do Sejmu, które odbyły się 4 czerwca 1989 r. W moim przekonaniu jest to data przełomowa dla historii Polski i zawsze ten dzień wspominam z dumą. Wydawało nam się wtedy, że to jest właśnie dzień, który otwiera drogę do nowego określenia „dobra wspólnego”. Mimo upływu tylu lat od tamtego momentu mam przekonanie, że nie do końca odrobiliśmy lekcję rozumienia, czym jest dobro wspólne. Zapisaliśmy to przecież także w Konstytucji w art. 1, określając nasze państwo jako Rzeczpospolitą Polską, która jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli, ale w rzeczywistości cały czas nie potrafimy identyfikować się z tym pojęciem i zrozumieć do głębi, co ono naprawdę oznacza.

Dlaczego?

Nie wiem. Być może wartość ta wydawała się tak oczywista, że nie zadaliśmy sobie trudu, aby ją dedefiniować, a może wręcz przeciwnie – jest ona zbyt idealistyczna na potrzeby realiów politycznych? Mówienie o dobru wspólnym nie daje „animuszu politycznego” – jest za delikatne do prowadzenia walki politycznej. W rezultacie jest ono, niestety, w praktyce politycznej sprowadzane często do dobra partyjnego, albo inaczej mówiąc, jest utożsamiane z dobrem konkretnej partii, a to już tylko krok do przekreślenia samej idei dobra wspólnego, które jest ponadpartyjne i ma łączyć, a nie dzielić.

Poświęćmy chwilę Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu. Czy to jego zasługa, że została pani ambasadorem RP w Watykanie?

To taka dawna historia, jakby z innej epoki. Propozycję złożył mi ówczesny minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski. On mnie zainspirował do myślenia o wyjeździe do Watykanu. Ja jednak wahałam się bardzo długo. Nie było mi łatwo podjąć tę decyzję. Tak zostawić tutaj to całe tętniące życie polityczne? Nie miałam też specjalnie głębokiej wiedzy, czym będzie ta misja w Watykanie. Gorąco do jej podjęcia namawiali mnie przyjaciele. Ja jednak zwlekałam z ostateczną odpowiedzią. I tutaj powracamy do roli Jana-Nowaka Jeziorańskiego. Byliśmy w 2001 r. z Janem-Nowakiem Jeziorańskim w Jerozolimie. Ja byłam zaproszona przez The Hebrew University na wykład o konstytucji europejskiej, natomiast Jan Nowak-Jeziorański miał inne zadanie. Spotkaliśmy się i wspólnie pojechaliśmy nad Jezioro Genezaret, gdzie przeprowadziliśmy wiele wspólnych rozmów. Pamiętam, jak wtedy powiedział mi: „Hanko, ty się zastanów, musisz wreszcie podjąć tę decyzję, że chcesz iść do Watykanu, bo pan minister Bartoszewski nie może dłużej czekać”. Przedstawił mi argumenty, które mnie zdeterminowały do podjęcia pozytywnej decyzji. I w tym sensie stwierdzenie, że zainspirował mnie do tego wyjazdu, jest słuszne.

Ukończyła pani studia na UAM. Powspominajmy trochę te chwile.

Rzeczywiście jestem z tym uniwersytetem związana całe moje życie. Należę do tego pokolenia, które nie miało szans, aby studiować w różnych uniwersytetach za granicą. Wtedy było się przypisanym do jednej uczelni. Ja podjęłam studia na UAM na Wydziale Prawa. Po ich ukończeniu podjęłam pracę w Katedrze Prawa Państwowego i byłam przez wiele lat z różnymi przerwami

związana z tą katedrą. A następnie w słynnym 1989 r. poszłam w wielką politykę i w kolejnym roku opuściłam Wydział Prawa. Miałam wówczas poczucie, że pewnie już nigdy do tego uniwersytetu nie wrócę. Ale w życiu nigdy nie można niczego być pewnym. Wiele lat później, w 2013 r., gdy kończyłam swoją karierę dyplomatyczną, zostałam zachęcona do powrotu na mój macierzysty uniwersytet. Pan profesor Zdzisław Kędzia, który również po długim pobycie za granicą wrócił na uczelnię, przekonywał mnie, że warto. Osobą, która ostatecznie mnie przekonała do powrotu, był ówczesny rektor UAM prof. Bronisław Marciniak. Wróciłam zatem do Poznania i zrezygnowałam z Warszawy. Mogę powiedzieć, że do dnia dzisiejszego nie żałuję tej decyzji. Mam duży dług wdzięczności wobec uniwersytetu za to, że mogłam tutaj powrócić po takim długim okresie mojej, niejednokrotnie burzliwej, kariery polityczno-dyplomatycznej i że zostałam tak dobrze tu przyjęta.

Została pani pierwszą kobietą premierem w Polsce. Wiąże się z tym pewna anegdota. Może ją pani przypomnieć?

Jest to anegdota, która pokazuje zarazem, jak bardzo zmienił się świat. Proszę zwrócić uwagę na to, że było to stosunkowo niedawno, bo w 1992 r., a wydaje się, że w zupełnie innej epoce. Byłam wówczas członkiem międzynarodowej fundacji o charakterze parlamentarnym, której celem było przygotowywanie nowych parlamentarzystów z państw post-radzieckich do pracy w demokratycznym parlamencie. Na początku lipca mieliśmy posiedzenie zarządu w Londynie. W polskim Sejmie wówczas toczyła się debata nad utworzeniem rządu Waldemara Pawlaka. Musiałam brać udział w późnowieczornych głosowaniach sejmowych, które nie doprowadziły do utworzenia rządu, ale rano uzyskałam zgodę szefa klubu parlamentarnego i wyjechałam do Londynu na posiedzenie fundacji. Wówczas to w grupie parlamentarzystów w Sejmie narodził się pomysł, aby zaproponować moją kandydaturę jako premiera. Kiedy znalazłam się w samolocie do Londynu, nie miałam o tym w ogóle pojęcia. W Sejmie zaczęto mnie tymczasem poszukiwać. Wszyscy zastanawiali się, gdzie jestem. Wiedzieli, że fundacja miała swoją siedzibę w Amsterdamie, ale ja pojechałam do Londynu, więc gdzie mnie szukać? I to jest ten znak czasu: nie było wtedy telefonów komórkowych. Teraz każdy zostałby namierzony, zanim wysiadłby z samolotu. A wtedy była to zupełnie inna sytuacja. Ja siedziałam spokojnie na obradach w Londynie, a w Sejmie nerwowo mnie poszukiwano. Wyleciałam rano, o godz. 8, a znalazłam mnie dopiero popołudniu, o godz. 15. Kiedy wróciłam po przerwie na lunch, znalazłam kartkę, że szuka mnie ambasada polska w Londynie. Pomyślałam wtedy, że stało się coś niedobrego. Zadzwoiłam do ambasadora i dowiedziałam się, że poszukuje mnie pilnie szef Klubu Parlamentarnego prof. Geremek. Odbyłam z nim rozmowę. Poinformował mnie, że tworzy się porozumienie międzyklubowe wokół mojej osoby jako premiera. Zadałam wówczas pytanie czy, jeśli się nie zgodzę, oznacza to, że koalicja może upaść? Prof. Geremek powiedział mi wtedy, że jest to raczej pewne. Musiałam pilnie wracać do Warszawy. Pamiętam, że siedziałam w samolocie i jacyś państwo siedzący przede mną przeglądali gazetę i mówią: „Patrz, tu na tym zdjęciu jest ta Suchocka, co to ją podobno szukają, jest kandydatem na premiera”. I wtedy sobie uzmysłowiłam, że to już cena, którą płacę – utrata prywatności.

Pochodzi pani z rodziny, w której kobiety angażowały się w życie publiczne.

Byłam wychowywana w domu w atmosferze, w której wszystkie kobiety były aktywne zawodowo i społecznie. Babcia nie miała

*W barze nieopodal ambasady
witają mnie właściciele i od razu
bez pytania podają mi cappuccino
i moje ulubione cornetto integrale*

zawodu, bo było to na początku XX w., ale była wtedy, jak to się mówiło, działaczką społeczną. Prowadziła m.in. akcje Czerwonego Krzyża, a po uzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. została delegatką na Sejm Dzielnicowy w Poznaniu. Moja ciotka po I wojnie światowej ukończyła studia i była również niezwykle zaangażowana społecznie. Mama była bardzo aktywna i ceniona zawodowo, a zarazem świetnie prowadziła dom. Stąd właśnie wyniosłam przekonanie, że kobieta w życiu publicznym może pełnić taką samą rolę jak mężczyzna.

A jeśli mówimy o kobietach, to życie partyjne było zdominowane i w sumie nadal jest przez mężczyzn. Czy było pani trudno przekonać ich do swoich decyzji?

Wtedy głównie dyskutowałam z mężczyznami, bo to oni byli liderami partii i ministrami. Ale przekonywanie ich do moich decyzji zależało jednak bardziej od różnic charakteru i osobowości. Jednych było łatwiej przekonać i bardziej byli otwarci na argumenty, innych trudniej. Zależało to jeszcze w istotny sposób od opcji politycznych. Niektórych w ogóle nie udało się przekonać i wiodłam z nimi bezustanne spory. To nie był więc spór kobieta – mężczyzna, ale spór dotyczący wizji i opcji politycznych.

Jedną z takich kontrowersyjnych decyzji w pani rządzie było podpisanie konkordatu. Czy nie miała pani wątpliwości, że może tamten czas nie był zbyt dobry na to?

Nie, nie miałam, ponieważ traktowałam konkordat jako umowę międzynarodową zawieraną pomiędzy dwoma podmiotami prawa międzynarodowego. Uważam, że ten czas był dobry dla zawarcia takiej umowy. W 1992 r. Polska znalazła się w nowej rzeczywistości, rozpadały się państwa sąsiednie. Dlatego zawieraliśmy nowe umowy międzynarodowe z kolejnymi państwami, ponieważ musieliśmy stworzyć nową sieć traktatów międzynarodowych z państwami, które wyzwoliły się z dominacji radzieckiej. Konkordat był umową międzynarodową Polski ze Stolicą Apostolską. Rozmowy jeszcze władz PRL o zawarcie takiej umowy ze Stolicą Apostolską toczyły już w końcu lat 80-tych, ale wtedy z uwagi na zmieniającą się sytuację polityczną do jej podpisania nie doszło. Polska w okresie międzywojennym miała konkordat, który został jednostronnie wypowiedziany przez rząd komunistyczny. W nowych warunkach uznano, że nie można po prostu przywrócić tamtego aktu, bo był to konkordat na inne czasy, przedsoborowe. A teraz potrzebny był dokument, który uwzględni całą nową sytuację po II wojnie światowej, w tym także powstałe w tym okresie traktaty międzynarodowe dotyczące praw człowieka. Miała to być zatem

nowa umowa międzynarodowa, która odwołuje się w swojej preambule m.in. do traktatów międzynarodowych. Uważałam, że takie ramy na określenie stosunków między Polską a Stolicą Apostolską są bardzo ważne. Dodać tutaj można, że zawieranie umów z Watykanem stało się powszechną praktyką w tamtych latach we wszystkich państwach powstałych po rozpadzie ZSRR.

W 2001 roku została pani ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej. Wyjeżdżała pani z myślą, że będzie to wielka przygoda czy szansa na wyrwanie się z kraju?

Ja nie wiedziałam, jak to będzie. Na pewno nie traktowałam tego jako przygody, bo jak już wspomniałam, nie do końca miałam wiedzę, na czym tak naprawdę polega rola ambasadora przy Stolicy Apostolskiej. Przede mną było dwóch ambasadorów i oni także stąpali po nowym gruncie. Kiedy już podjęłam decyzję o wyjeździe, to starałam się jak najlepiej przygotować do tej misji, i rozpoznać, jakie czekają na mnie tam wyzwania. Zrozumiałam wówczas jedno – że Stolica Apostolska to ważny podmiot prawa międzynarodowego. To nie jest tylko kwestia dotycząca relacji: lokalny Kościół katolicki – papież. Te kwestie należą do kompetencji Konferencji Episkopatu. Rola ambasadora przy Stolicy Apostolskiej jest zupełnie inna, zbliżona do roli ambasadora przy dużej globalnej organizacji międzynarodowej. Wymaga dobrego rozeznania w polityce globalnej, a nie tylko dwustronnych relacji. Potem się okazało, że właśnie z tego względu praca na tej placówce była także niezwykle pasjonująca.

W pani najnowszej książce „Ambasador u trzech papieży” możemy przeczytać „w Watykanie mawia się, że każdy pontyfikat to osobna epoka”. Pani tych epok przeżyła, jak sam tytuł mówi – trzy. Co najbardziej panią zaskoczyło w trakcie pełnienia obowiązków ambasadora w Stolicy Apostolskiej?

Na pewno to, że tak wiele państw przywiązuje tak dużą wagę do kontaktów ze Stolicą Apostolską. Przeszło 190 państw ma z nią relacje dyplomatyczne. Zaskoczyło mnie, jak bardzo aktywne przy Stolicy Apostolskiej są państwa, które nie są – z uwagi na większość wyznawców – katolickie. Wielka Brytania uważała na przykład, że Watykan jest doskonałym miejscem, w którym rzeczywiście może prowadzić swoją globalną politykę np. w państwach afrykańskich.

Pani książka to nie tylko wspomnienia, ale również szeroko ilustrowany przewodnik po bardziej i mniej znanych miejscach ...

W Rzymie poznałam wielu niezwykłych i ciekawych ludzi nie tylko z kręgów watykańskich, ale także ze świata kultury, a nawet filmu, jak chociażby Ginę Lollobrigidę. Z wieloma się przyjaźniłam i przyjaźnie te trwają do dzisiaj. Ale równocześnie poznałam wielu zwykłych rzymian, prowadzących bary, sklepiki czy też mających swoje stoiska na Campo dei Fiori. Miałam zwyczaj chodzić po tych uliczkach, wstępować do barów i sklepików. Kiedy dzisiaj jadę do Rzymu, idę szlakiem tych sklepików. W barze nieopodal ambasady witają mnie właściciele i od razu bez pytania podają mi cappuccino i moje ulubione cornetto integrale. Na Campo dei Fiori wita mnie zawsze właściciel straganu z kwiatami czy z warzywami. To naprawdę bardzo miłe. Ale równocześnie wiele sklepików i barów zostało zamkniętych. Staję przed drzwiami znajomego sklepiku i widzę nowych, obcych mi ludzi... Wtedy robi się trochę smutno. Ale to jest nieunikniony znak czasu.

O DWÓCH TAKICH, CO ŚWIAT POZNALI I STUDENTÓW NIE ZANUDZALI

Takich wykładów, jak u profesorów Tadeusza Perkitnego i Leona Mroczkiewicza można było studentom zazdrościć. Bo kto by nie chciał słuchać wpłatanych w naukową wiedzę anegdotek z podróży dookoła świata? O tym, jak jeździli na słoniach po dżungli, czy uciekali przed krokodylem? Po 90 latach przypominamy szaloną wyprawę dwóch absolwentów Uniwersytetu Poznańskiego.

17 lutego 1930 r. tłumy poznaniaków, którzy ekscytowali się przygodami Tadeusza Perkitnego i Leona Mroczkiewicza, opisywanymi w „Kurierze Poznańskim”, zebrały się pod siedzibą Automobilklubu Wielkopolski, by powitać wracających inżynierów leśnictwa.

„Po obu stronach ulicy stoją więc szpalerem poznańskie Kaczmarki. Meloniki mają wciśnięte głęboko na „glace”, brzuchy dumnie do przodu wypięte, a w łapach „lole”, którymi machają przyjaźnie. Jadąc w ślad za maszyną prezesa, robimy honorową rundę wokół budynku poznańskiej Alma Mater i wreszcie wpadamy na zawaloną tłumem ulicę Kantaka”. Tłum ludzi obiegł Forda T na marokańskich tablicach rejestracyjnych. Były owacje i gratulacje. Wygłodniali podróżnicy zjedli powitalną kaczkę z pyzami i kapustą, po czym ruszyli na doroczny bal leśników, by tam swoim kolegom opowiadać o tym, co przeżyli.

A było o czym opowiadać! Pokonali 88 tysięcy kilometrów. Góry, pustynie, stępy i mokradła. Podróżowali wszelkimi środkami transportu: samochodem, koleją, statkami, pieszo, rowerami, a nawet na słoniach! O swojej wyprawie napisali 50 artykułów, dwie książki, cały zbiór pamiętników, dzienników, i zeszytów. Zapisywali dosłownie wszystko: ile kilometrów przejechali, jakie pamiątki kupili, jakie wydatki ich czekały. Z zachowanych notatek możemy dowiedzieć się nawet, ile razy Leon musiał usiąść na fotelu dentystycznym i ile wydał na okulary Tadeusz.



FOT. ZE ZBIORÓW RODZINY MROCHKIEWICZÓW

W trasę wyruszyli 11 września 1926 roku. – Chcieli zobaczyć świat, rodzin jeszcze nie zakładali. Oszczędności nie mieli, bo skąd? Dopiero zaczynali pracę, wzięli ze sobą jakieś 100 złotych, mapę wyrwaną pewnie z jakiegoś atlasu i to było wszystko – mówi mi Małgorzata Mroczkiewicz, wnuczka Leona. Zнали się już wtedy jak łysy konie – ich losy złączyły się już 14 lat wcześniej, gdy trafili do jednego gimnazjum. Potem wspólnie walczyli w Powstaniu Wielkopolskim, by w 1921 r., już w wolnej Polsce, razem pójść na studia, na Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu Poznańskiego.

Po „znajomości”

Pierwszym punktem podróży była Szwecja. Dlaczego akurat ten kraj? – Na uniwersytecie bowiem mieliśmy kolegę zwanego Rudym Julkiem, od którego przez rodziną ciotkę, przyjaciółkę teje ciotki i dalszą krewną po babce teje przyjaciółki łańcuch naszych znajomości wiedzie wprost do Malmö. Tam mianowicie pędzi ponoć żywot teściowa owej dalszej krewnej obok męża Szweda, o ile przypadkiem nie rozwiodła się z dziadem albo nie umarła. Nilson zwie się podobno owa czcigodna matrona i ostatni znak życia dała rodzinie przed laty dwudziestu – tłumaczył Perkitny. Ta „zażyła” znajomość miała zaowocować znalezieniem miejsca noclegu i pracy, dzięki której zarobiliby na dalszą podróż.

*W Argentynie Tadeusz i Leon łupali
drewniane klepki, rąbali drewno
i wytyczali trasę kolejową w Andach,
która istnieje do dziś.*



I choć z pewnej posady u Nilsona wyszły nici, a w swoich paszportach mieli adnotację o zakazie zarobkowania, to ich nie zraziło. Szukali pracy tak długo, aż znaleźli. Najpierw w fabryce ścieru drzewnego i papieru, potem w wytwórni zapalek Ivana Krugera.

Ta filozofia towarzyszyła im przez całą wyprawę. – Zdarzało się, że dostawali list polecający, dzięki czemu mogli następną pracę dostać. Tak było właśnie w Szwecji – mówi Małgorzata Mroczkiewicz. Innym razem referencje dawał konsul. Albo pomagał im napotkany gdzieś w dalekim świecie rodak...

Od niańki do kierownika

Ze Skandynawii ruszyli do Francji. Pod Bordeaux pracowali jako drwale, a za „hotel” służyła im opuszczona chatka w środku lasu, w której najpotrzebniejsze meble sami sobie zbili z drzew i wyrzuconych przez ocean skrzyń. Potem przenieśli się do Nicei, gdzie Tadeusz pracował jako pomoc domowa do wszystkiego (w tym opieki nad dziećmi) a Leon jako pomywacz i ogrodnik. A gdy wreszcie udało im się zebrać środki na rejs przez Atlantyk – ruszyli przez Afrykę do Brazylii.

W Kraju Kawy załapali się na darmową podróż – tamtejszy rząd fundował dla imigrantów, którzy przyjeżdżali do pracy, darmowy bilet do wybranego miasta. Wybrali Kurytybę pełną polskich osadników. Zatrudnienie znaleźli przy konserwacji torów kolejki leśnej w osadzie Branco, z dala od cywilizacji. Praca była wyczerpująca, słabo płatna, a warunki życiowe – tragiczne. – Jesteśmy nędzarzami pośród nędzarzy! Toteż życiowa szkoła wólcześci – choć poddajemy się jej dobrowolnie – staje się nagle nieoczekiwane ciężka, posępna i twarda. W drewnianej budzie, której długość wynosi cztery metry a szerokość i wysokość zaledwie dwa metry, mieszka nas sześciu kolegów po fachu – opisywał Perkitny.

Gdyby tego było mało, do tych lokatorów dołączały jeszcze pluskwy, pchły, mrówki, myszy, szczury i kury. To jednak nie przeszkodziło dwójce podróżników urządzić w tej „budzie” atelier fotograficznego. – Robili zdjęcia mieszkańcom okolicy i to

był sposób na zarobienie pieniędzy – mówi wnuczka Leona. Do ich atelier tłumy waliły drzwiami i oknami. I tak przez cztery tygodnie, aż zwolniono ich z pracy.

Ruszyli więc dalej – pieszo przez stepy Parany do Argentyny, w towarzystwie pomocnika z atelier – Polaka Wojciecha Bieli-Bielskiego i „tragarza” – kupionego okazynie rumaka, który dźwigał ich ważące 120 kilogramów bagaże.

Cena zwierzęcia nie była przypadkowa. – Nieprawdą jest, jakoby samym swym widokiem i samą swą wonią działało nęcąco na sępy i ściągało takowe ku sobie z całego stanu Parana. Sępy krążyły i krążą, temu zaprzeczyć nie można, ale tylko miejscowe i nie wyłącznie nad koniem, lecz także nade mną, Leonem i Wojtkiem – przekonywał Perkitny. Ale to właśnie ów rumak jako jedyny nie wytrzymał trudów podróży, zmuszając całą trójkę w połowie drogi do ograniczenia ekwipunku do niezbędnego minimum, które dało się przenieść na plecach.

W Argentynie Tadeusz i Leon łupali drewniane klepki, rąbali drewno i wytyczali trasę kolejową w Andach, która istnieje do dziś. Pracowali tak długo, aż ubierali na kolejny rejs – z Chile przez Pacyfik do Indochin. Tam o pracę nie było łatwo. Najpierw szukali w Sajgonie, potem coraz dalej, jedząc z dnia na dzień coraz mniej. I dopiero, gdy śmierć głodowa zaglądała im już do oczu, znaleźli upragnioną posadę. I to jaką! Zostali kierownikami wyprawy mierniczej. Na 10 miesięcy trafili do dżungli, gdzie – jak podkreślali – byli pierwszymi białymi ludźmi w wioskach szczepów Mojów.

A stamtąd już ruszyli przez Singapur i Sri Lankę (wówczas Cejlon) do Afryki. Na Czarnym Łądzie, nad jeziorem Tanganika, mieli pobić przypadkiem trzy rekordy świata. Pływali znalezioną łódką, po czym zdecydowali się na kąpiel na plaży, która zachwyliła ich swoim wyglądem. Uczta dla oczu mogła zamienić się w ucztę dla żołądka napotkanego tam krokodyla. – Jaka szkoda, że nie ma w pobliżu międzynarodowych arbitrów ze stoperem! Bo właśnie w tej chwili padają aż trzy nowe rekordy światowe: w pływaniu na 200 m stylem nerwowym!, w skakaniu na głaz sterczący w tej wodzie!, no i wiosłarski



FOT. 4X ZE ZBIORÓW RODZINY MROCZKIEWICZÓW

w klasie: dwójki bez sternika, dla panów, na dwa kilometry i jedną... szuflę! – opisywał Perkitny. Krokodyl jednak za nimi nie ruszył. Bo nie żył. Potwierdziło to dopiero rzucanie w niego coraz to większymi kamieniami... Ostatni etap – z Maroka do Polski pokonali kupionym w Casablance zdezelowanym 9-letnim Fordem T.

Od włóczęgi do profesora

Po powrocie do Polski o swojej śmiałej wyprawie opowiadali w dziesiątkach prelekcji i w salach wykładowych. Obaj bowiem poświęcili się naukowej pracy na Wyższej Szkole Rolniczej (dzisiejszym Uniwersytecie Przyrodniczym).

Mroczkiewicz w 1933 r. uzyskał tytuł doktora nauk leśnych, w 1954 r. profesora nadzwyczajnego a w 1966 r. – zwyczajnego. W latach 1952–1956 był dziekanem Wydziału Leśnego, a w latach 1959–1963 prorektorem ds. nauczania Wyższej Szkoły Rolniczej. Perkitny doktorem nauk leśnych został rok po swoim

przyjacielu, ale tytuł profesora uzyskał wcześniej, bo w 1951 r. Od 1950 r. kierował Katedrą Mechanicznej Technologii Drewna Wyższej Szkoły Rolniczej, a w latach 1960–1964 był dziekanem Wydziału Technologii Drewna Akademii Rolniczej w Poznaniu (dzisiejszy Uniwersytet Przyrodniczy). Obaj otrzymali też doktoraty honoris causa, Perkitny nawet dwóch uczelni.

Mroczkiewicz zmarł w 1971 roku, Perkitny 15 lat później. Ale pamięć o nich nie zginęła. Na Uniwersytecie Przyrodniczym mają pamiątkowe tablice, a Perkitny nawet swoją salę. I do dziś znajdziemy jego nazwisko w podręcznikach drzewnictwa na całym świecie. Ale doceniano go nie tylko za sukcesy w drzewnictwie, ale też za literaturę. – Ostatnia pozycja, którą napisał – dwutomowa powieść „Okrążmy świat raz jeszcze” – była tematem pracy magisterskiej napisanej przez Małgorzatę Pawełczak na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM pt. „Słownictwo i frazeologia w twórczości literackiej Perkitnego” – podkreśla dr Wojciech Kokociński, student i asystent Perkitnego.

Filip Czeaka



31 sierpnia 2020 roku był ostatnim dniem urzędowania Jego Magnificencji Rektora prof. Andrzeja Lesickiego